# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 60 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 84 halerzy, za wiersz jednoszpaltowy nonparellowy 1·20 kor.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XVI. Kraków, 18 stycznia 1919. Nr 2 i 3

# Walki o wschodnie granice Polski.




1) Gen. Śmigły ze sztabem w Rawie Ruskiej. 2) Dowództwo wojskowe por. Włodzimierskiego. 3) Milicya konna polska. 4) Zdobyte treny wojsk Petlury. (Fot. ppor. Langier).

Treść numeru: Paderewski w Krakowie. — Zgon młodego publicysty. — Wilson w Europie. — Przewrót w Berlinie. — Powrót wodza angielskiego do ojczyzny. — Ze strasznych dni Lwowa. — Piłsudski we Lwowie itd.

# Walki o wschodnie granice Polski.

Od chwili, kiedy ogłoszenie niepodległości państwa polskiego stało się faktem dokonanym, na wschodzie Polski rozpoczęły się zacięte walki o jej granice. Już traktat brzeski chciał uszczuplić tutaj polskie obszary i wydać ich znaczną część wbrew prawom historycznym i etnograficznym w ręce hajdamaków ukraińskich. Dodatkowym traktatem do umowy brzeskiej zwrócono Polsce co prawda część Podlasia, ale tego dodatku nie uznali Ukraińcy i panowanie swoje stale rozszerzają ku wschodowi.

Równocześnie z akcyą Rusinów w Galicyi wschodniej, zmierzającą do oderwania jej od Polski, rozpoczęli Ukraińcy także akcyę zbrojną na Podlasiu i Wołyniu. W okolicach Włodzimierza Wołyńskiego aż po Rawę Ruską, utworzył się obecny front bojowy, który ma bronić Polski przed inwazyą ukraińską.

Na froncie tym stanęły do walki oddziały dawnych formacyi legionowych pod wodzą generała Smigłego. Są tu więc wszyscy ci, którzy ongiś z „dziadkiem" Piłsudskim krwawe walki tu staczali. Są Beliniacy, są dawne formacye piechoty, dawni Piłsudczycy w sztabie i w oddziałach.

Szczupłe stosunkowo siły polskie bronią granic polskich z całem zaparciem się i poświęceniem. Wobec przewagi wroga, wobec tego, że z Ukrainy napływają coraz liczniejsze posiłki nieprzyjacielowi, stanowisko wojsk polskich jest bardzo utrudnione. Mimo to obrona trwa.

Podajemy szereg illustracyi, dostarczonych nam przez porucznika Langera, przedstawiających różne momenty walk, oraz tych, którzy w dzielnej obronie trwają i czekają, aż Ojczyzna wesprze ich usiłowania jakimś wielkim żywiołowym odruchem.



**Walki o wschodnie granice Polski:** Szwadron ułanów Beliny pod komendą podpor. Swiderskiego. (Fot podpor. T. Langier)





**Walki o wschodnie granice Polski:** (Fot. T. Langier) Komenda placu w Włodzimierzu Wołyńskim. Karabin maszynowy na pozycyi pod Włodzimierzem Wołyńskim.

## Paderewski w Krakowie.

Kraków zaskoczony został w sobotę 4 b. m. niespodziewaną wiadomością o przyjeździe Paderewskiego. Pomimo krótkości czasu na przygotowanie uroczystości, godnej mistrza, przyjęcie Paderewskiego, który przyjechał z Warszawy o godzinie pół do dziesiątej rano, było wspaniałe. Niezliczone tłumy ludności i delegacyj zaległy dworzec kolejowy i przyległe ulice. Na dworcu kolejowym powitał Paderewskiego prezydent miasta Federowicz, imieniem włościan powiatu krakowskiego p. Młodzianowski. W pochodzie, iście tryumfalnym, ruszyły tłumy ludności pod pomnik grunwaldzki. Młodzież wyprzęgła konie i wiozła Paderewskiego. Pod pomnikiem w pięknej, podniosłej mowie, powitał Paderewskiego imieniem P. K. L. dr. Tertil. Paderewski wygłosił dłuższą mowę, podnosząc doniosłość dziejowej chwili i niebezpieczeństwa, grożące Polsce. Podniósł więc potrzebę jedności i konsolidacyi stronnictw. Chce jej lud wiejski i robotniczy, nie mogą porozumieć się ich kierownicy.

Państwo Paderewscy zamieszkali w Grand Hotelu, przed którym zbierały się tłumy ludności.

Misya Paderewskiego w Krakowie miała, jak się pokazało, polityczny charakter. Zaraz po swoim przyjeździe do Warszawy wszedł on w bliski kontakt z przedstawicielami wszystkich stronnictw, celem utworzenia trójdzielnicowego, koalicyjnego gabinetu, następnie w sprawie proponowanej przez polską Naczelną Radę Ludową w Poznaniu, Rady Narodowej dla całej Polski, którąby składała się ze stu członków, obejmowała wszystkie stronnictwa z całej Polski i do czasu zebrania się Sejmu polskiego objęłaby funkcye organu kontrolującego. Na powołanie do życia tej Rady Narodowej godziły się też wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem P. P. S., która zasadniczo opozycyjne zajęła wobec tego pomysłu stanowisko.

Pobyt Paderewskiego w Krakowie, obliczony pierwotnie na trzy dni, został nagle przerwany, gdyż na wezwanie komendanta Piłsudskiego powrócił Paderewski do Warszawy aby tam dalej prowadzić dzieło zjednoczenia i zgody.



**Walki o wschodnie granice Polski:** Obrona Włodzimierza wołyńskiego przed wojskami Petlury.

## Zgon młodego publicysty.

W szerokich kołach Krakowa, a zwłaszcza literackich i tej młodzieży, co przed 10 laty siedziała na ławach uniwersyteckich, wywołała niezmierny żal śmierć Kazimierza Władysława Bartoszewicza, młodego i nadzwyczaj zdolnego publicysty. Utratę jego odczuto tem dotkliwiej, że należał on do rzadkich wyjątków, nie miał bowiem nieprzyjaciół, a każdy, kto się do niego zbliżył, otaczał go wkrótce szacunkiem i miłością. W istocie, kto go tylko znał, to go i kochał, tak dla charakteru prawego, nieskazitelnego, dla gorącego patryotyzmu, jak i dla

zalet towarzyskich. Widziano w nim wzór młodego obywatela kraju, wzór człowieka pełnego dobroci i bezinteresowności, zdolnego do poświęcania się dla drugich i dla wspólnych ideałów.

Urodzony 6 grudnia 1885, syn Kazimierza, znanego literata i publicysty, wnuk znakomitego historyka Juliana, ukończył wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego. Rozpoczął pracę publicysty w Warszawie jako sekretarz redakcyi poważnego „Tygodnika Polskiego". Przed wojną dla zdania doktoratu powrócił do Krakowa. Znalazł się nagle sam, rodziców bowiem zaskoczyła wojna w Warszawie, a brata internowano w Moskwie. Zmuszony oprzeć się na własnej pracy, wszedł w skład redakcyi „Głosu Narodu", zasilając swem piórem wszystkie działy pisma.





**Walki o wschodnie granice Polski:** (Fot podpor T. Langier)

Klasztor Reformatów. Siedziba grupy majora Wieczorkiewicza

Oddział polski w Włodzimierzu Wołyńskim.



**Paderewski w Krakowie:** Mistrz przemawia pod pomnikiem Grunwaldzkim do witających go obywateli. (Fot Karaś).

Lecz nie zalety pióra czynią człowieka obywatelem kraju. Czynią go charakter, serce, umysł, kultura ducha, miłość ojczyzny. A pod tym właśnie względem zmarły był jednostką, dla której praca dla dobra publicznego była istotnie pierwszem przykazaniem. W czasach akademickich był jednym z przywódców młodzieży narodowej. W stowarzyszeniach akademickich („Zjednoczenie", „Straż polska") powierzano mu najwyższe urzędy, zaś w poufnych organizacyach tak młodzieży jak i późniejobywatelskich, jakie obóz narodowy w dążności do paraliżowania jarzma niewoli na obszarze ziem polskich i zagranicą wytwarzał, wpływ jego sięgał w dusze bardzo wielkiego grona bliskich mu, rozsianych po całym obszarze Rzeczypospolitej. W zewnętrznem życiu obywatelskiem należał przed i w czasie wybuchu wojny do głównych organizatorów polskiej organizacyi zbrojnej „Drużyn bartoszowych", zaś w czasie wojny, pogłębiając stronę ideową tej pracy, zgłosił się do służby w skautingu polskim, działając w tej dziedzinie jako członek naczelnictwa i instruktor drużyn skautowych.

U niego też, w jego skromnej izdebce na trzeciem piętrerku i w jego rękach koncentrowało się w czasie wojny wiele nici myśli narodowej ze wszystkich ziem polskich i z zagranicy.

## Przewrót w Berlinie.

Gdy w ostatnich dniach grudnia przedstawiciele niezawisłych sosyalistów wystąpili z centralnego rządu Rzeszy niemieckiej, zdawało się, że Ebert i Scheidemann zapanowali wreszcie nad sytuacyą i że w Berlinie doczeka się ludność względnego spokoju. Jakoż minął spokojnie dzień noworoczny, minął następnie spokojnie cały prawie tydzień, są dzono, że nastąpił przełom ku lepszemu, gdy w niedzielę dnia 5 b. m. rewolucyjni robotnicy urządzili gwałtowne demonstracye przeciwko usunięciu z urzędu prezydenta policyi berlińskiej, Eichhorna, który wydawał broń członkom grupy Spartakusa. Demonstranci wieczorem obsadzili biura redakcyi „Vorwärtsu", dalej biuro Wolffa, a wreszcie biura dzienników trustu Ullsteina. Członkowie rządu zgromadzili się pod pałacem kanclerskim, a do tłumu żołnierzy i robotników, wiernych rządowi, przemówił Scheidemann, piętnując grupę Spartakusa i kończąc wielce drastycznemi słowami: „Temu świństwu trzeba kres położyć".

Zapowiedź Scheidemana nie sprawdziła się dotąd. Bandyci ze związku Spartakusa — jak powiada odezwa socyalnych demokratów — hulają w najlepsze po ulicach Berlina. Rokowania rządu z grupą Spartakusa, podjęte we wtorek dnia 7 b. m., rozbiły się rychło, natomiast bardzo dosadnie przemawiały karabiny maszynowe, granaty ręczne i kulomioty. Owego dnia wojska rządowe z trudem zdołały obronić arsenał przy pomocy dział i karabinów maszynowych, natomiast przewrotowcy zdołali zająć drukarnię państwową, gdzie skonfiskowali znaczne zapasy pieniędzy papierowych. W nocy rozpoczęły się ponowne rokowania, które rozbiły się. Ilustracyą wolności prasy był fakt, że dzienniki, obsadzone przez ludzi Spartakusa, nie wyszły, zaś „Vorwärts" przyniósł rzeczy, podyktowane przez niezawisłych socyalistów. Główny urząd telegraficzny dostał się w ręce rewolucyonistów. W nocy z dnia 7 na 8 stycznia walki uliczne przybrały nadzwyczajne rozmiary. Berlin znajdował się jakby wśród pobojowiska. Nieustannie grzmiały działa i grzechotały karabiny maszynowe. Dzień 7 stycznia stał się dla Berlina pamiętnym równie dlatego, że na czele demonstrantów widziano bolszewika Radka, który dostał się do Berlina mimo czujności władz.

Rząd podjął znowu rokowania z niezawisłymi socyalistami, a równocześnie zaczął ściągać z prowincyi wojska, które przybywszy do Berlina, już na dworcach musiały staczać walki z oddziałami Spartakusa.

Nazajutrz to jest dnia 8 stycznia giełda i wszystkie banki były zamknięte, ruch kolejowy i tramwajowy ustał, a pojawiły się tylko nieliczne dzienniki. Walki trwały dalej nawet w nocy. Grupa przewrotowa oświadczyła, że zawrze pokój, jeżeli ustąpią trzej komisarze ludowi: Ebert, Scheidemann

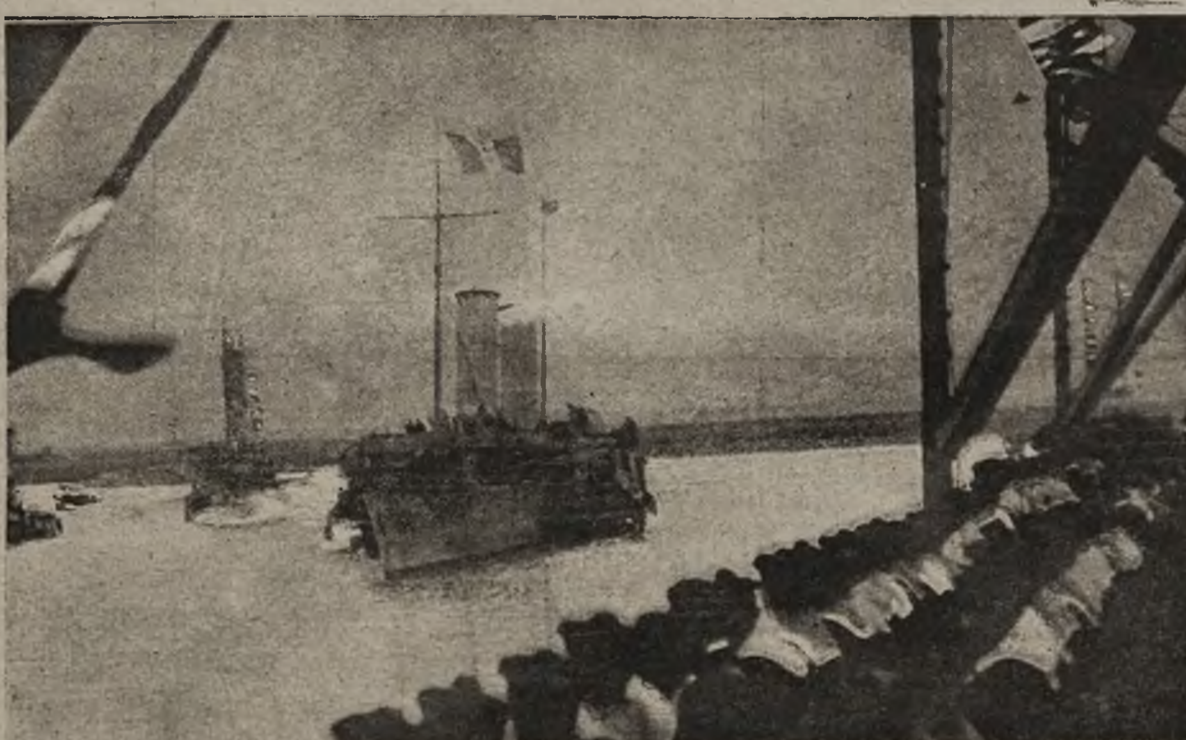


**Paderewski w Krakowie:** Tłum wita z entuzyazmem mistrza Paderewskiego na ulicach Krakowa. (Fot Karaś)



**Przewrót w Berlinie**: Żołnierze Spartakusa zbroją się na ulicach Berlina

i Noske, a miejsca ich zajmą dwaj niezawiśli i jeden komunista. Oczywiście rząd odrzucił tę propozycyę, zwłaszcza, że stanowisko jego wzmocniło się. Rozporządzał on już w owym dniu armią, liczącą 70 do 80 tysięcy ludzi. Podobno Hindenburg miał przybyć do Berlina, co oczywiście dodało otuchy rządowi. Walki jednakże nie ustawały, a ludzie Spartakusa zajęli chwilowo wodociąg i wstrzymali dopływ wody. W dzielnicy, w której mają siedzibę wydawnictwa dzienników Ullsteina, Mossego i Scherla, rozgrywały się zaciekłe walki. Walczono zaciekle o gmach wydawnictw Mossego w dniu 9 stycznia. Rząd chciał bezwarunkowo zająć ten gmach, ażeby w drukarni Mossego mógł wydawać swój organ „Vorwärts". Ostatecznie gmach redakcyi „Vorwärtsu" zdobyły wojska rządowe przy pomocy artyleryi. Walki na ulicach trwają dalej.



**Wilson w Europie**: Statek pasażerski przybija do brzegów Europy wiozący Wilsona

## Wilson w Europie.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson osiedlił się obecnie na dłuższy czas w Paryżu. Przyjazd jego do Europy był jednem pasmem uroczystości, które zaczęły się w chwili wylądowania, a trwają nieprzerwanie w stolicy Francyi.

Prezydent Wilson zamieszkał w empirowym pałacyku przy ulicy Mouzeale, gdzie mu rodzina Muratów ofiarowała gościnność ze względu na węzły pokrewieństwa, jakie łączą ją z kilku amerykańskiemi rodzinami z czasów wygnania za oceanem, gdzie jeden z Muratów pojął wówczas za żonę Amerykankę. Zaciszny ten pałacyk, przytykający do parku Monceau, stanie się więc wkrótce miejscem historycznem, a i dziś o ściany jego obijają się echa ważnych narad przedwstępnych. Sprawozdawcy większych dzienników koalicyjnych ogłaszają wyniki swych interwiewów z prezydentem w których niema jednak żadnych rozstrzygających decyzyi,



**Zgon młodego publicysty**: S. p. Kazimierz Bartoszewicz, współpracownik „Głosu Narodu".

z wyjątkiem Ligi narodów, którą Wilson uważa za jedno z najpoważniejszych zadań, jakie przyjdzie mu doprowadzić do skutku. Wypiera się natomiast wszelkiej wspólności z Ligą utrwalenia pokoju, która powstała świeżo w Ameryce, powołując się na jego autorytet. Ostatnio, wśród recepcyi politycznych, przyjmował prezydent Wilson na osobnem posłuchaniu przedstawiciela Watykanu w Ameryce monsignora Coretti, który wręczyć miał od papieża ważną osobistą notę.

Poza swemi urzędowemi czynnościami prezydent odbywa chętnie wraz z żoną samochodowe wycieczki w okolice Paryża, a w takim razie towarzyszą mu zwykle drugim samochodem amerykańscy detektywi, przybyli dla strzeżenia jego osoby. — Na święta wyjechał prezydent na odcinek, zajęty przez wojska amerykańskie, by spędzić tam w gronie żołnierzy tradycyjne Chistmas.





Sypialnia prez. Wilsona w pałacu Murata w Paryżu **Wilson w Europie:** Pracownia prez. Wilsona w Paryżu.

**Adam Wiaryga-Minieski.**

# JAK KRUKI.

**Powieść z dni ostatnich.**

25

— Kto ci to powiedział?! Właśnie, że się ożenię!

— Aha! i będziecie razem chodzili do „glodowej" kuchni i deklamowali może: „dla kochanki i kochanka" — zadrwiła trzydziestoszešcioletnia panna.

Kazimierz zamyślił się chmurnie i ręką pocierał czoło.

— No, przecież nie musimy brać ślubu już. Mamy czas...

— To zależy...

Rodzeństwo popatrzyło sobie w oczy. Kazimierz usiadł i przesłaniając ręką usta, zaczął ziewać zawzięcie.

— Przespij się — zaproponowała siostra — a potem może razem zjemy obiad.

— Jestem dzisiaj zaproszony na obiad.

— To dobrze. W takim razie zostaw klucz. Przyjdę nad wieczorem.

Wacława nie pytała, do kogo jest zaproszony, co Kazimierzowi było bardzo na rękę. Obawiałby się skłamać przed siostrą, bo gotowa odrazu spenetrować, a prawdy również powiedzieć nie chciał.

Jeszcze wczoraj postanowił sobie, że nie pójdzie na obiad do Burczykiewiczów, ale teraz rozmyślił się. Jednakowoż trzeba iść.

Był bardzo senny. Powieki ciężyły mu na oczach. Wziął poduszkę z łóżka i rzucił ją na sofę.

Wacława stała przed lustrem i wkładała kapelusz. Brat patrzył na nią, a potem oczy jego pobiegły ku torebce ręcznej przewieszonej przez poręcz krzesła.

— Słuchajno, Wacko... — zaczął wahająco i urwał.

Siostra zwróciła się ku niemu. Domyślny uśmiech pojawił się na jej pięknie wykrojonych, ale przywiędłych już trochę wargach.

Pieniędzy ci potrzeba, co? Pewnie osiadłeś na mieliźnie...

— Hm... no tak... właściwie... gdybyś mogła, to...

Wacława sięgnęła po portmonetkę.

— No, ileż ci potrzeba?...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Kazimierz przespał się i kwadrans po dwunastej świeży, piękny, elegancki, opuszczał swój pokój, aby się udać na obiad do Burczykiewiczów.

Kiedy przechodził obok mieszkania pani Mili, przypomniał sobie ranną scenkę. Przystanął i zawahał się. Po chwili zapukał.

Drzwi otwarły się i przywitał go radosny pisk ładnej gosposi, na który Rawicz odpowiedział przezornem ostrzeżeniem:

— Ale ja tylko na chwilkę...

Chwilka ta przeciągnęła się jednak przeszło pół godziny i kiedy Rawicz znalazł się wreszcie na ulicy, musiał przyspieszyć kroku, aby się stawić na oznaczoną godzinę.

Nie dlatego, żeby z Burczykiewiczami ceremoniował się nadto, ale poprostu był głodny bardzo.

Przechodząc obok kwiaciarni wstąpił i kupił dla Stefy możliwie najtańsza wiązankę kwiatów. Był to wielce skromny bukiecik, kilka gwoździków, trochę białych tacetów o ostrej woni i gałązka jakiejś puszystej trawy.

Gdyby to jednak były róże nicejskie, fiołki prosto z Parmy sprowadzane lub najwspanialsze okazy orchidei, nie mogłyby większej wzbudzić radości niż wzbudziły.

Stefka rozpromieniona pochwyciła wiązankę obiema rękami i szepcząc:

— Dziękuję panu... bardzo, bardzo dziękuję. Taki pan dobry, że już nie wiem doprawdy... — odrazu przypięła kwiaty do swojej szafirowej, aksamitnej bluzki.

— Oczy dalibóg mogą rozboleć od tych jej szafirów — pomyślał Kazimierz.

— Wie pan — mówiła dziewczyna — że obiadu niema jeszcze, bo tato zajęty jakąś bardzo ważną rozmową z jednym panem, to my sobie pójdziemy do salonu i pogadamy trochę. Prawda, jak to dobrze?

Podniosła ku niemu oczy błyszczące uciechą, aż ładne prawie od nadmiaru ciepłych, rado snych promieni.

Kazimierz o mało co nie zaklął głośno tak mu się jeść chciało i tak mało miał ochoty do sentymentalnej pogawędki sam na sam ze Stefką. Odpowiedział jednak:

— Bardzo dobrze — poszedł za Burczykiewiczówną do salonu.

Salon Burczykiewiczów był to ogromna „landara", urządzona z przepychem. Nie brakło tam ani wspaniałego fortepianu, na którym nikt nie grał, ani książek i albumów w kosztownych oprawach, których nie czytano i nie oglądano, ani gobelinów, rzeźb, obrazów, na których się nikt w tym domu nie znał. Po rogach salonu ustawiono grupy palm i innych cieplarnianych roślin. Miały to być niby cieniste gaiki, ale nieumiejętnie pielęgnowane i pozbawione właściwego światła, sprawiały wrażenie ponure czegoś obumierającego.

— Jak uschną, to się kupi nowe — zadecydował Burczykiewicz, kiedy mu ktoś zwrócił uwagę, że chcąc mieć takie delikatne rośliny, trzeba je odpowiednio pielęgnować.

Kazimierz usiadł na pluszowej kozetce pośród tych suchotniczych palm, a Stefa przysunęła bliziutko ku niemu swój nizki fotelik, na którym jej krępa postać wydawała się zabawnie pękatą.

— Czemu pan tak dawno nie był u nas? — zapytała cicho dziewczyna.

— Dawno?... Dopiero trzy dni temu.

— Czasem trzy dni temu to bardzo dawno — westchnęła żałośnie Stefka — a ja pana widziałam wczoraj z okna. Nawet pan nie spojrzał do góry.

Kazimierz uśmiechnął się zdawkowym uśmiechem. Dziwna rzecz, jak ta dziewczyna miała mało dla niego uroku. Nawet ta jej miłość, równie niezgrabna i naiwna, jak potężna, przejawiająca się w każdem słowie, w każdem spojrzeniu, nie rozbrajała go, nie pociągała.

Chwilami czuł dla niej politowanie, a czasem coś, jakby jakąś fizyczną odrazę do jej brzydkich rąk, czerwonej cery, grubokościstej figury i żółtawych, sztywnych włosów.

Nigdy też prawie nie starał się bawić Stefy, wiedział, że ona nie wymaga tego, że zadowala się samą tylko jego obecnością.

Stefa milczała jakąś minutę może, skubiąc kwiaty przy bluzce. Chciała powiedzieć coś, co gwałtem cisnęło się jej na usta, a nie śmiała. Wstydziła się i lękała.

— W niedzielę widziałam pana z daleka — wykrztusiła wreszcie — pan szedł z jedną panną... z blondynką.

Poczerwieniały jej nawet uszy, broda i szyja.

Kazimierz spojrzał na nią w ten sam sposób, jak rano na panią Milę.

— Więc cóż z tego? — zapytał.

Stefka, zaczerwieniona po korzenie włosów, przygryzała wargi, szarpała koronki bluzki i wyłamywała sobie formalnie palce w stawach.

— Bo... bo... ja słyszałam...

Piękne rysy mężczyzny przebiegło leciutkie, prawie niedostrzegalne drgnienie niepokoju.

Wziął ze stolika jakieś album i zaczął je przeglądać.

— I cóż pani słyszała?

— Że... że ta panna Borowicka to pańska... narzeczona...

Ostatni wyraz wymówiła z takiem zachłyśnięciem głosu, jakby jej tchu zabrakło i z krwistoczerwonej stała się nagle zupełnie bladą.

Rawicz przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Nie odrywając wzroku od kart albumu, omijał spojrzenie dziewczyny, w którem zdawała się skupiać cała jej dusza, drżąca pomiędzy trwogą i nadzieją.

— I któż to opowiada o mnie takie rzeczy? — wyrzekł wreszcie powoli.

Pierś Stefki podniosła się głębokim oddechem ulgi. Krew powracała do jej policzków.

Ta wymijająca odpowiedź opadała na jej serce kroplami słodkiego, kojącego balsamu. Nie potwierdził! Nie zaprzeczył wprawdzie, ale gdyby to była prawda, to musiałby przyznać się. Dusza prostackiej córki wzbogaconego przez wyzysk rzeźnika nie była jeszcze odarta ze świeżej, naiwnej wiary dziewczęcej w świętość kochania i w szlachetność „jego".

— Gdyby tamtą kochał, gdyby był jej narzeczonym, toby powiedział... toby powiedział... — dzwoniło jej w myśli radośnie.

I cała znów w uśmiechach i rumieńcach odparła spiesznie:

— Już nie pamiętam, kto mi to mówił... Ale ja zaraz sobie pomyślałam, że to musi być nieprawda.

Kazimierz jakoś dziwnie zmarszczył brwi, pochylił głowę, ale nie zapytał dlaczego właściwie tak myślała.

Gdyby Stefka więcej była spostrzegawczą, a mniej zakochaną, nie mogłoby to ujść jej uwadze, że on się w tej chwili wstydzi czegoś, strasznie wstydzi. Tak się wstydzi. że aż drżą mu cienkie, smukłe palce, przerzucające uparcie karty albumu i różowy obłok rozpościera się po matowej twarzy, a szafirowe oczy uciekają gwałtownie pod powieki.

Tylko że Stefka Burczykiewicz nie była ani psychologiem ani przenikliwą obserwatorką, tylko prostą. do szaleństwa rozkochaną dziewczyną.

Uspokoiwszy swoje obawy odzyskała trochę pewności siebie.

— Mówią niektórzy, że ta panna Borowicka to bardzo ładna... Ale mnie się wydaje, że tak znowu bardzo to nie.

— Uhm... — mruknął pod nosem Rawicz i spojrzał na drzwi, jakby stamtąd oczekiwał wybawienia.

— A ubrana to już całkiem pod psem — Stefa pogardliwie pokręciła swoim szerokim perkatym nosem.

— Proszę pani — w głosie Rawicza zabrzmiało nieukrywane rozdrażnienie — czy pani nie może znaleźć innego tematu do rozmowy, jak tylko pannę Borowicką?

Mówił gniewnie, szorstko, a w pociemniałych oczach błyskały mu jakieś niedobre płomienie.

Stefa straciła zupełnie kontenans. tak, jak to było zawsze, kiedy wyczuwała. że Rawicz jest z niej niezadowolony. Wargi jej zatrzęsły się bezradnie, jasne skąpe rzęsy zatrzepotały. Twarz cała nabrała takiego wyrazu przestrachu, jak u dziecka, które się boi kary

— Mój Boże! pewnie znowu coś głupiego palnęłam... — kołatało w niej serce trwożnie i gwałtownie.

A że nie rozumiała o co mu chodzi i bała się. by powtórnie nie „palnąć" głupstwa więc milczała, powracając do swej taktyki wyłamywania sobie palców w stawach.

— Cóż pani robiła wczoraj? — rzucił Rawicz czując, że musi choćby w najgłupszy sposób podtrzymać rozmowę, chociaż go ona drażni i nudzi, ach! tak niesłychanie nudzi..

Stefka uszczęśliwiona tem pytaniem, świadczącem, że Kazimierz już się nie gniewa, zaczęła opowiadać szeroko, rozwlekle, nieciekawie o nieciekawych wypadkach, wypełniających ramy jednego dnia jej życia.

Chodziła rano aż do parku, bo myślała, że pana Kazimierza spotka. ale nie spotkała. Potem upiekła sama taką strucelkę z migdałową masą, co to pan Kazimierz lubi. Myślała, że przyjdzie i zje strucelkę, ale nie przyszedł i nie zjadł. Później czytała tę książkę. którą jej pan Kazimierz polecił.

I tak dalej... we wszystkich myślach i czynnościach Stefy świecił jak gwiazda przewodnia pan Kazimierz.

Dziewczyna ożywiła się i rozgadała na dobre. Mówiła i mówiła, nie zważając, że jej towarzysz nie odzywa się prawie wcale.

Rawicz słuchał z przymrużonemi oczyma a właściwie nie słuchał zupełnie, tylko patrzył na szafirową, nastrzępioną ozdobami suknię Burczykiewiczówny, na wielkie brylanty w jej uszach, na ręce brzydkie, grube i pomimo wysiłków pielęgnacyi ordynarne i powtarzał sobie: „Dwa razy dwa jest tylko cztery... dwa razy dwa jest tylko cztery..."

Niekiedy spojrzenie jego niecierpliwe wybiegało w stronę drzwi, bo głód zaczynał mu coraz silniej dokuczać.

Kiedyż raz u dyabła będzie ten objad?!

Tymczasem Stefę to przedłużające się sam na sam rozmarzało i upajało. Oczy jej błyszczały światłem ciepłem i jasnem, usta rozchylały się uśmiechem szczęścia, nierówności i chropowatości rysów i cery zdawały się wygładzać niby pod dotknięciem jakiejś pieszczotliwej, czarodziejskiej ręki.

Brzydka dziewczyna o gminnych rysach i grubych kościach rozkwitała jak kwiat nieładny, pospolity, niezgrabny, ale pełen zdrowych soków żywotnych.

Mówiła coraz śmielej, coraz szczerzej, coraz serdeczniej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



**Misteryum Strindberga w teatrze krakowskim:** P. Łusiczkiewiczówna i dwoje dzieci Olga i Stasia S w rolach córki i wnuków niesprawiedliwego sędziego.

## Dla przyszłości kraju.

Towarzystwo Kółek rolniczych postawiło sobie zadanie wyszkolenia kobiet do zawodu handlowego. W tym celu zorganizowało kursa handlowe dla kobiet, które odbywają się dlatego w Rzeszowie, aby córkom mieszczan i włościan z obu części kraju ułatwić do nich dostęp. Czwarty taki kurs, który rozpoczął się 5 sierpnia, skończył się 18 grudnia. Dowodem, jaką popularnością cieszą się te kursy, jest te, że na ten ostatni zgłosiło się 144 kandydatek. Przyjętych jednak mogło być tylko 50, gdyż na taką ilość uczenic każdorazowy kurs jest obliczony. Przy egzaminie, który trwał trzy dni i przy którym każda uczenica ze wszystkich przedmiotów była szczegółowo pytana, 33 uczenic otrzymało stopień bardzo dobry, 17 stopień dobry. Taki więc zastęp fachowo uzdolnionych pracowniczek przybył polskiej handlowości; absolwentki tych kursów są zwłaszcza uzdolnione do objęcia czynności w sklepach i składnicach Kółek rolniczych. Kierownikiem kursów handlowych dla kobiet jest dr. Bronisław Dulęba, wiceprezes Towarzystwa Kółek rolniczych, instruktorami są Leopold Buczyński, Stanisław Dzierża i Władysław Tempiński. W najbliższym czasie otwartym zostanie piąty kurs handlowy dla kobiet.

Podajemy illustracyę przedstawiającą uczestniczki ostatniego kursu wraz z gronem profesorskiem.

## Dookoła sprawy pokoju.

W Anglii i w Niemczech najbardziej odczuwają przewlekanie sprawy zawarcia pokoju.

Dzienniki angielskie są pełne głosów rozczarowania. Sądzą tam, że koalicya niezbyt poważnie traktuje tę sprawę. Od czasu zawieszenia broni upłynęło już z górą sześć tygodni, a mężowie stanu są jeszcze nadal zajęci ceremonialnemi wizytami, wskutek czego cała atmosfera nie sprzyja poważnej pracy. Niemcy znowu są rozdzierane wewnętrznym niepokojem i waśniami, które mają swą podstawę w nerwowem wyczekiwaniu pokoju. Wiedzą one, że warunki koalicyi będą ciężkie, ale czują się już tak przybici, że wolą, aby zakończyła się raczej ta niepewność jutra.

Twórca obecnego pokoju, prezydent Wilson, najlepiej ocenia sytuacyę. To też w jego działalności widzi się obecnie gorące życzenie przystąpienia jak najrychlej do dzieła pokoju. W jednem ze swych ostatnich przemówień oświadczył, że jednomyślność całej koalicyi jest już prawie osiągnięta. Zasady pokoju zostały skrystalizowane przez Amerykę, a przyjęte przez mocarstwa sprzymierzone. Jego rolą będzie czuwanie nad tem, aby nietylko żądania koalicyi zostały zaspokojone, ale również, aby położono podstawy pod trwały pokój prawa i sprawiedliwości. Wilson nie myśli dłużej odkładać sprawy pokoju. Za jego to przyczynieniem się obecna praca w tym kierunku postępuje raźniej niż przedtem i już pojawiła się wiadomość, że 9 lub 10 stycznia zostanie otwarte pierwsze posiedzenie konferencyi pokojowej.

Równocześnie z ustaleniem punktów przyszłego pokoju ma być traktowana sprawa „Związku narodów“, którego zasady obecnie się opracowują. W preliminaryach pokojowych będzie zaznaczone również prawo samookreślenia narodów, będzie poruszona kwestya powszechnego rozbrojenia i przymusowego



**Misteryum Strindberga w teatrze krakowskim**
N'esprawiedliwy sędzia i jego żona. (Pp. Czaplińska i Noskowski).



**Dla przyszłości kraju:** Uczestniczki czwartego kursu handlowego Towarzystwa Kółek rolniczych dla kobiet w Rzeszowie.



**Misteryum Strindberga w teatrze krakowskim:**
P. Bończa w roli „Tamtego“ — mnicha

życzenia zostaną wysłuchane i wzięte pod rozwagę. Jakkolwiek będzie, należy się spodziewać, że dalsza zwłoka w sprawie pokoju nie nastąpi.

Wojska koalicyi zagospodarują się tymczasem coraz bardziej na ziemiach niemieckich. Całe pogranicze od strony Francyi i Belgii znajduje się obecnie w ich rękach, a wedle uchwały dowództwa wojsk koalicyi rozpoczyna się energiczna kontrakcya przeciw wszelkim próbom przeniesienia propagandy rewolucyjnej lub bolszewickiej z Niemiec na zachód.

Rządy socyalistyczne w Niemczech przechodzą tymczasem ciężkie przesilenie, które może łatwo zakończyć się ogólną katastrofą partyi. Od samego początku swego istnienia gabinet Eberta Scheidemanna nosił w sobie zarodki bezsilności, wynikającej z tego faktu, że reprezentował mniejszość społeczeństwa i nie posiadał wewnętrznej jednolitości.

Rząd obecny powstał i był uznany przez społeczeństwo głównie ze względu na sytuacyę zewnętrzną. Ponieważ koalicya wyraźnie oświadczyła, że z ludźmi dawnego systemu nie będzie się wdawać w żadne układy, wydało się nieuniknionem oddać rządy stronnictwu, które prowadziło zasadniczą opozycyę przeciwko dawnym rządom i dążyło do oparcia wewnętrznej organizacyi niemieckiego państwa na zupełnie nowych podstawach. Rząd socyalistyczny miał dawać gwarancyę zwycięskiej koalicyi, że przewrót niemiecki był wynikiem szczerej i zdecydowanej woli narodu niemieckiego, aby zerwać raz na zawsze z tradycyami nacyonalistycznego biurokratyzmu, cezaryzmu i militaryzmu.

Już jednak przy tworzeniu gabinetu powstały trudności, wynikające z wytworzonego podczas wojny, głęboko sięgającego rozłamu w partyi socyalistycznej. Grupa najskrajniejsza, zbliżona w programie i metodzie agitacyjnej do rosyjskiego bolszewizmu, musiała być z góry wykluczona od udziału w rządzie, już choćby ze względu na stanowisko koalicyi; ale „niezawiśli“, którzy stanowią odcień pośredni pomiędzy komunistami a socyalistami dawnego autoramentu, wstąpili do gabinetu, wnosząc tam element politycznej demagogii i społecznego rozstroju.

Socyaliści umiarkowani, chcąc salwować jedność rządu, ustępowali stale wobec żądań grup radykalnych, posługujących się z całą bezwzględnością środkami gwałtu i teroru. W tych warunkach powaga władzy upadła całkowicie: w całym kraju powstał nieopisany zamęt i Niemcy zaczęły zdążać szybkim krokiem do wewnętrznego rozkładu na wzór rosyjski. Zupełnie też słusznie mogła stwierdzić odezwa zjednoczonych demokratycznych stronnictw, że rządy socyalistyczne nie przyniosły krajowi ani porządku, ani wolności, ani chleba.

Dzisiaj Niemcom grozi wewnętrzna rewolucya, a w ślad za nią interwencya koalicyi.



**Misteryum Strindberga w teatrze krakowskim:**
P. Bończa w roli „Tamtego“

sądu rozjemczego. Można sobie wyobrazić, że dalszy przebieg będzie następujący: koalicya zaprasza przedstawicieli państw centralnych, celem omówienia orędzia pokojowego Wilsona. Być może, iż dyskusya nie będzie wcale dopuszczona i poszczególne punkty będą musiały zostać przyjęte. Same zasady nie będą w żadnym razie przedmiotem dyskusyi; konferencya pokojowa będzie miała za zadanie rozpatrzyć, w jaki sposób dadzą się one praktycznie zastosować.

Nie jest również wykluczonem, że koalicya zaprosi państwa centralne do współudziału, że ich





**Dookoła sprawy pokoju:**

Francuzi przemalowują budki strażnicze barwami francuskimi w Mannheim.

Główny odwach francuski w Moguncyi ubezpieczony ciężką artyleryą. (Lip. b. pr.)

Fred, M, Withe.

# Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

17

— O, mogę to panu powiedzieć — roześmiała się wesoło pani Iza. — Tak, tak, książę! Nie jest pan tak sprytnym, jak pan sądził. Czyni pan właśnie tak, jak ów jegomość, który banknot ukrył przed złoczyńcami w krawacie, a sam się zdradził, dotykając wciąż krawata. Widziałam, jak pan pare razy spoglądał na kwiat w butonierce. Załóżmy się! Błękitny kamień ukryty jest w kielichu orchidei.

— Co za kapitalnie mądra kobieta — mruknął książę, wydobywając orchideę z butonierki i pilnie ją oglądając. — Na brodę proroka! widzę jakiś przedmiot w kielichu kwiatu — rzekł głosem patetycznym. — Biorę go we dwa palce i patrz! Oto rzeczywiście błękitny kamień!

Okrzyk zdumienia wyrwał się z ust Frobishera, podczas gdy Hamid, jakby piorunem rażony, rzucił nań spojrzenie wściekłości pełne. Książę zaś, ujawszy klejnot wysoko w rękę, spoglądał tryumfująco w około, jak czarodziej, któremu udała się nowa, efektowna sztuczka.

— Widzieliście państwo wszyscy — zwrócił się sarkastycznie do obecnych. — Kamień był dobrze schowany i to w orchidei pana Frobishera. Niech pan nie pije tak nagle, przyjacielu! — dodał, spojrzawszy na Frobishera. — Mógłby się pan udławić.

Frobisher odpowiedział wymuszonym uśmiechem i spojrzeniem drażnionego tygrysa. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, podczas gdy nerwowo drgające palce ścisnęły nóż, jakby to był sztylet.

Przez długie minuty milczeli wszyscy.

Tymczasem książę na nowo rozgrzał wosk i przypieczętował go w odpowiedniem miejscu dokumentu błękitnym klejnotem.

— Pan istotnie bardzo chytrze klejnot swój ukrył — odezwała się wreszcie pani Iza. — Nikomu byłoby nie przyszło na myśl tam go szukać. Czy książę ma dużo wrogów?

— Niech pani o to zapyta mego ministra Hamida — brzmiała powolna odpowiedź — on wie o tem najlepiej.

Hamid skłonił się uniżenie, chowając dokument.

Błękitny kamień iskrzył się jeszcze na stole. Frobisher chciwe rzucił nań spojrzenie, przyczem odruchowo skrzywiły mu się palce, jakby u drapieżnego zwierza.

— Niech pan schowa swój skarb — poradził księciu chrypliwym głosem. To niebezpiecznie zostawiać go tak na wierzchu.

— Czyż znowu mam szukać skrytki? — roześmiał się władca Kurdistanu, rozglądając się w koło.

— Ach, panie Pakford, czy pan zechce może przechować mój kamień do chwili, kiedy będę wracał do ojczyzny? Panu mogę zaufać, a pan jest człowiekiem, którego nie tak łatwo można nagabywać, jak mnie. Czy zechce mi pan wyświadczyć tę przysługę?

Pakford zgodził się i schował klejnot do kieszeni, poczem podał pani Izie złożony arkusz papieru i powstał.

— Czy wolno mi teraz pożegnać państwa? Panie Denvers, pójdzie pan ze mną?

Reszta gości poszła za jego przykładem, tylko pani Iza pozostała na swem miejscu, gdyż, jak mówiła, oczekiwała jeszcze kogoś. Frobisher odszedł pospiesznie z Hamidem, podczas gdy Denvers odprowadził Angelę do powozu.

— To się zowie pyszny kawał — żartował Pakford w rozmowie z księciem. — Mina Frobishera była wprost niezrównana! Jak książę zapewne zauważył, wręczyłem pani Bernsteinowej czek, który ma oddać swemu mężowi. Ale pańskiego klejnotu nie chcę przechowywać w domu; oddam go do mego banku.

— Proszę, niech pan zrobi tak, jak pan uważa za stosowne — odparł książę. — Wszystko mi jedno, jeśli wiem, że mam do czynienia z uczciwym człowiekiem. Teraz zaś tęsknię za jakiemś przyzwoitem zajęciem — ot, partya Bridg'a. — Panie Denvers zwrócił się do Harolda, który właśnie nadszedł — czy zechce pan dziś wieczór pójść ze mną do klubu?

Młody człowiek odmówił, wiedział bowiem dobrze, że książę, pozostawiony sam sobie, do wieczora nie będzie już trzeźwym.

— Wybawił pan naszego ciemno-skórego przyjaciela z wielkiego kłopotu, panie Pakford — rzekł Denvers, skoro się książę oddalił.

— Być może — odparł tamten sucho zagadnięty. — Mam duże zamiłowanie do tego rodzaju interesów; dogadza mi to, że mogę coś zrobić dla rządu poza kulisami. Czasami moja gra okazuje się bardzo kosztowną, czasami zaś przynosi mi pokaźne zyski. W tym ostatnim wypadku liczę na to ostatnie i będę się starał wywdzięczyć panu za przysługę tem, że postaram się, aby pan otrzymał koncesyę.

Podczas gdy powolnym krokiem szli przez ulicę, spotkali spieszącego Lefroy'a. Harold zapytywał się w duchu, czy to może ten gość, którego jeszcze oczekiwała pani Iza. Istotnie hrabia wszedł do restauracyi.

Kiedy go pani Iza spostrzegła, poprosiła go do stołu.

— Z radością pospieszyłem na wezwanie łaskawej pani — przywitał ją uprzejmie.

— Bardzo to pięknie z pańskiej strony — odparła chłodno pani Iza. — Czy pan później taksamo będzie myślał, o tem wątpię. Miałam tu przed chwilą kilku gości; sir Frobisher, Hamid, a nawet chan z Kurdistanu, który na moje życzenie tutaj opatrzył pieczęcią dokumenty, przedłożone przez Hamida. Było to wysoce interesującem, najbardziej jednak zapewne dla sir Frobishera, sądząc po klasycznym wyrazie jego twarzy.

Lefroy oblał się lekkim rumieńcem; nie czuł się już tak swobodnym, jak przedtem.

— Hamid był także bardzo zdziwiony — ciągnęła dalej. — Zdawało się, że obaj nie wierzyli, aby książę mógł mieć błękitny kamień. A przecież tak było. Nigdyby pan jednak nie zgadł, panie hrabio, skąd go tak nagle wziął. Toteż powiem panu sama. Otóż wydobył go z kielicha kwiatu orchidei, który mu tuż przedtem włożyłam do butoniery. Kwiat zerwałam z gałązki, którą pan wczoraj wieczorem na moje życzenie wpiął we włosy panny Lynn. Czy pan przypomina to sobie?

— Aż nadto dobrze — mruknął Lefroy.

— A więc widzi pan; jestem przekonana, że błękitny kamień znajdował się już wczoraj w kielichu orchidei. Czy pana nie zadziwia ta wiadomość?

— Pani prześcignęła w mądrości i sprycie lisa — odparł hrabia niechętnie, ale z niektamanym podziwem. — A więc w ten sposób pani nas wystrychnęła na dudków? Nic o tem nie wiedząc, trzymałem w ręku błękitny kamień? A panna Lynn także tego nie przeczuwała?

— Nie; mogłaby się była zdradzić. A więc teraz pan zrozumie, z jaką satysfakcyą patrzyłam na przerażone miny Frobishera i Hamida. I pan powiada, że sir Clemens jest mądrym człowiekiem!

— Najmędrszym, jakiego w życiu dotąd spotkałem.

— Pan jest w błędzie. Co się tyczy podłości i bezwstydu, być może, że niema równego sobie, ale rozumu ma mało, a sztuki przewidywania wcale nie posiada. Ja go natychmiast przejrzałam. I taki człowiek chciał wyzyskać mnie dla swoich celów — mnie, która jestem dziesięćkroć sprytniejsza od niego! Gdyby się był wczoraj wieczorem nie okazał był także i podłym tchórzem, byłabym mu może przebaczyła, ale tak nie minie go zasłużona kara. Niech pan uważa, panie hrabio, żeby i pana tosamo nie spotkało.

— A cóż ja uczyniłem takiego? — zapytał Lefroy, udając niewinnego.

— Co pan uczynił? — powtórzyła. — I pan gotów był siły i przemocy użyć przeciw słabej kobiecie. Ale gra wasza skończona. Nie będzie pan miał więcej sposobności obalenia księcia nawet z pomocą Hamida.

— Ach, mój mąż idzie. Gdy się panowie rozmówicie, powiem panu moje warunki.

Tymczasem zbliżył się do stołu tłuściutki, malutki Bernstein.

— Ach, bardzo mi miło, panie hrabio — rzekł, strzelając oczyma. — Prosiłbym o małą chwilę rozmowy. Uważam, że pan jest zbyt niebezpiecznym dla starego człowieka. Zastawił pan u mnie na wysoką pożyczkę koncesyę. Myślałem, że papiery są prawdziwe. Kiedy je jednak pokazałem mojej żonie, wykryła, że są sfałszowane. Jestem więc narażony na stratę dziesięciu tysięcy funtów. Chciałem zrobić doniesienie do policyi, ale jak mi pan dług zapłaci, gotów jestem dać temu spokój.

Lefroy spoglądał w zamyśleniu przed siebie. Wykrycie oszustwa nie wprawiło go wcale w kłopot. Oczywiście musi zwrócić dług, tylko nie wiedział, skąd wziąć w tej chwili pieniędzy.

— Musi mi pan dać trochę czasu — rzekł po chwili — a mam nadzieję, że to załatwię.

— Trochę czasu? — wymyślał Bernstein. — Może siedm lat? No, moja żona niechaj rozstrzygnie. Ona jest bardzo mądra. Cóż mam zrobić, moja droga?

— Włóż kapelusz i idź do City — rozkazała piękna żona. — Już ja załatwię sprawę z panem hrabią, możesz być zupełnie spokojnym.

Aron Bernstein nie wątpił o tem. Spojrzał na nią wzrokiem szczęśliwego właściciela, rzucił jej rękę całusa na pożegnanie i wyszedł.

— Ja — ja panią poprzednio nie całkiem dobrze zrozumiałem — odezwał się Lefroy, który całkiem stracił rezon.

— To zupełnie zbyteczne — oświadczyła ostro pani Iza. — Tymczasem będzie pan tańczył tak, jak ja zagram. Jeśli pan się zdecyduje być szczerym, to w takim razie pańskie oszustwo nie pociągnie za sobą złych skutków, jeśliby pan zaś okazał się podstępnym, wydam pana niechybnie w ręce policyi. Niechaj pan wybiera. Na razie wystarczy, jeśli odpowie pan otwarcie na kilka moich pytań. Czy pan wie skąd sir Frobisher ma szkarłatną orchidę?

— Dokładnie tego nie wiem, odgaduję jednak.

— Dobrze. Czy Manfred znał właściwości nieszczęsnej rośliny?

— Prawdopodobnie nie; wiedział tylko o jej wartości.

— W takim razie nie mylę się zapewne w przypuszczeniu, że owego fatalnego wieczoru Manfred otrzymał zlecenie wykraść orchideę z cieplarni sir Frobishera, że działał jako pański agent i przy usiłowanej kradzieży śmierć znalazł.

Lefroy mruknął niewyraźnie parę słów, ale pani Iza tem się nie zadowolniła.

— Jeśli pan mi nie odpowie prosto i otwarcie, pozostawię pana własnemu losowi — zagroziła. — Czy Manfred miał zlecenie od pana, by ukraść szkarłatną orchideę?

Wzdrygając się, hrabia potwierdził to pytanie.

— A kto orchideę sprzedał Frobisherowi?

— Przysiądz nie mógłbym, sądzę jednak, że to był Paweł Lopez.

Pani Bernsteinowa powstała. Obojętnie strzepnęła kilka okruszyn ze sukni i rzekła tonem rozkazującym:

— Tak — a teraz niech mnie pan odprowadzi do powozu i czeka na dalszy rozwój wypadków.

XV.

Frobisher spędził noc bezsennie, a ranek też mu nic pocieszającego nie przyniósł. Wybierał się właśnie do handlarza kwiatów, który mu chciał sprzedać jakąś nową odmianę orchidei, kiedy woźny sądowy wręczył mu wezwanie, by stawił się jeszcze przed południem przy oglądaniu zwłok zamordowanego u ogrodnika przy placu Lennoxa.

Zły, że mu przeszkodzono, wywarł złość najpierw na Angeli, zarzucając jej samowolne zadawanie się z Denversem. Dziewczyna jednak postawiła się ostro; oświadczyła nawet, że poślubi raczej portyera domu, aniżeli tego wstrętnego Arnotta!

Jeszcze Frobisher ze zdumienia nie był w stanie odpowiedzieć, kiedy mu zameldowano Arnotta. I Arnott był w złym humorze.

— Śliczną pan urządził historyę — zaczął wymyślać. — Pan i Lefroy. Czy pan wie, że hrabia umknął?

Frobisher uśmiechnął się — wiadomość ta była mu na rękę.

— Ach, stary Bernstein odkrył pewnie fałszerstwo — rzekł. — Tak, więc Lefroy zwiał? Tem lepiej dla nas — będziemy mieć wolne ręce.

— W małej tylko mierze — odparł Arnott. — Koncesyi w każdym razie pan nie dostanie. Hamid doznał gruntownej porażki od pani Bernsteinowej i tego Denversa. Zdaje się, że ta pani zna Hamida już od dawna i że wie, iż on wcale nie jest Kurdem. Książę dał mu odprawę i pojechał z Denversem do Paryża.

Frobisher zaklął.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Pogrzeb pod kulami Ukraińców.

Jak wiadomo Ukraińcy dokonali w Brzuchowicach pod Lwowem mordu strasznego na dziewięciu bezbronnych Lwowianinach, którzy przyjechali pociągiem po drzewka wigilijne. W nieludzki sposób zostali zabici: 1. Denenfeld Piotr, Legionista; 2. Dubiel Władysław, maszynista; 3. Fiehr Leopold, ucz. gimn.; 4. Hoffman Jan, maszynista; 5. Jan Dymitr, robotnik magazynowy; 6. Koneczny Leopold, maszynista; 7. Ołyniec Michał, ślusarz; 8. Szejanowski Jan, palacz.

W dniu 26 grudnia r. z. przed południem odbył się pogrzeb wymordowanych w Brzuchowicach. Pokaleczone i oszpecone zwłoki złożone były w szpitalu wojskowym przy ulicy Łyczakowskiej. Już o godzinie dziesiątej przed południem zebrały się ogromne tłumy, aby oddać ostatnią posługę ofiarom ukraińskiej dziczy. O jedenastej przed południem wyruszył kondukt żałobny; przodem szła kapela kolejowa, potem cechy i stowarzyszenia ze sztandarami, klasztory, duchowieństwo, a tu był jeden ksiądz obrządku grecko katolickiego, bo z pośród zamordowanych kolejarzy jeden był narodowości ruskiej. Na pierwszym rydwanie żałobnym wieziono zwłoki chłopczyny, na drugim Legionisty, na dalszych zwłoki reszty pomordowanych. Za każdym wozem żałobnym postępowała rodzina, a za ostatnim tłumy publiczności. W pochodzie szedł także gen. Rozwadowski, wiceprezydent Neumann, oraz przedstawiciele władz i instytucyi. Nawet najobojętniejsi ludzie płakali. Kondukt żałobny szedł na cmentarz Janowski, musiał więc przejść całe niemal miasto.

W tej chwili, tak przejmującej swoją grozą, Ukraińcy, korzystając z panującej mgły, podsunęli się pod Lwów i ze swej artyleryi zaczęli ostrzeliwać miasto z widocznym celem zasypania szrapnelami konduktu pogrzebowego. Taki potworny zamiar wyląd się mógł tylko w głowach oszołomionych już krwią i rozbestwieniem. Jeden ukraiński szrapnel padł na kościół OO. Karmelitów, w którym właśnie odbywało się nabożeństwo; szrapnel przebił sklepienie, a odłamki jego zraniły lekko księdza, odprawiającego mszę św. Drugi szrapnel padł przed kościołem katedralnym, nie wyrządził jednak szkody bo nie eksplodował, inny wreszcie padł w górnej części Łyczakowa, niedaleko kościoła św. Antoniego. Równocześnie pojawiły się nad miastem dwa ukraińskie aeroplany i rzuciły dwie bomby, obie bez rezultatu.

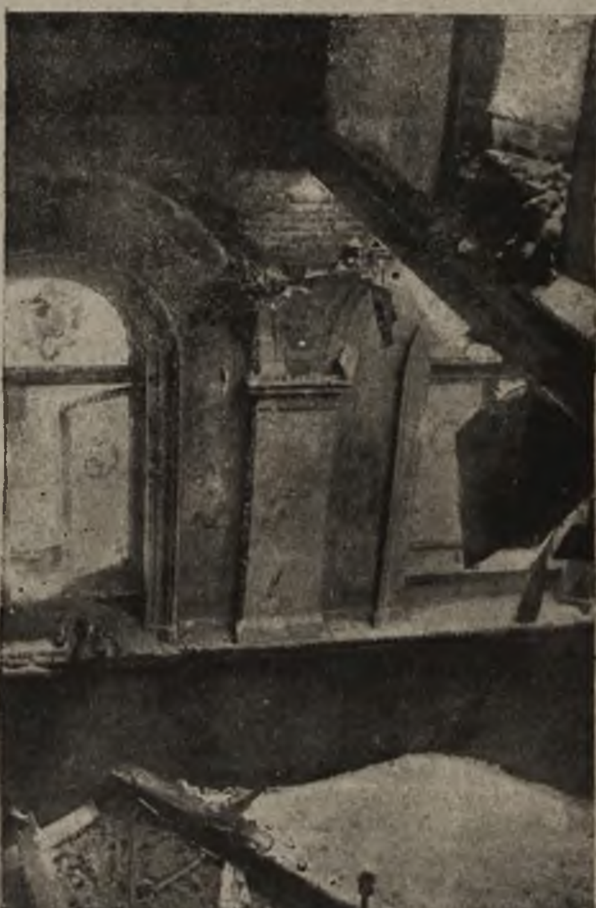
Kondukt żałobny doszedł w całości do cmentarza Janowskiego. Przed złożeniem trumien do grobu przemówili hr. Aleksander Skarbek, dyrektor kolei Barwicz, naczelnik Sokoła Krzysztofowicz, wreszcie pożegnali zwłoki swych kolegów pp. Ursini, Pretsch i Laskowski. Zmrok zapadł, gdy publiczność zaczęła rozchodzić się z cmentarza.



**Pogrzeb pod kulami Ukraińców:** Czoło konduktu pogrzebowego ofiar mordu w Brzuchowicach. (Fot. M. Münz Lwów).



**Pogrzeb pod kulami Ukraińców:** Kondukt pogrzebowy ze zwłokami dziewięciu ofiar mordu w Brzuchowicach. (Fot. M. Münz Lwów).



**Ze strasznych dni Lwowa:** Zburzona klatka schodowa w gmachu poczty.



**Dookoła sprawy pokoju:** Pierwsza warta francuska w Trewirze. (Lip b pras)

# Ze strasznych dni Lwowa.

Lwów przeżywa ciągle straszne chwile. Przez trzy tygodnie toczyła się walka w jego murach, grzmiały armaty, padały salwy, lała się krew po ulicach. Przyszedł wreszcie radosny dzień odsieczy i wyswobodzenia bohaterskiego miasta. Nie skończyły się jednak męki jego obrońców. Zaciekły wróg stanął znowu pod murami Lwowa i czyni rozpaczliwe wysiłki, by znowu zalać krwią umęczony gród kre-



**Ze strasznych dni Lwowa**: Wnętrze prezydyum dyrekcyi policyi we Lwowie po napadzie Ukraińców.

sowy. Przed kilku dniami rozpoczęli Rusini silną akcyę mającą na celu zdobycie szturmem Lwowa. Zdołali uszkodzić wodociąg miejski. Pociski artyleryjskie padały nawet do wnętrza miasta. Wszystkie usiłowania Rusinów — pisze „Gazeta Lwowska“ — wtargnięcia do naszej linii spełzły na niczem. Straty ruskie ostatnich dni są bardzo wielkie. W niektórych odcinkach leży kilkaset trupów ruskich. Straty polskie liczy się na kilkudziesięciu zabitych i rannych.

Szczególnie ciężkim był dla Lwowa trzeci dzień ofenzywy. Była to najstraszliwsza niedziela, jaką przeżywaliśmy od dwóch miesięcy. Ogień armatni szalał wokół Lwowa bez przerwy. Grzmoty dział z cytadeli i innych stanowisk huczały nad miastem bez ustanku. A obok huku armat ustawiczny terkot karabinów maszynowych napełniał powietrze jakąś niesamowitą wrzawą. Nasilenie walki osiągnęło o zmierzchu w niedzielę swój punkt kulminacyjny. A oto od południa nawiedziła miasto olbrzymia śnieżyca. Gęsty, mokry śnieg począł zasypywać bez przerwy całe miasto; zadymka śnieżna nie pozwoliła na obserwacyę linii nieprzyjacielskiej.

W tym momencie Ukraińcy rozpoczęli nowy, masowy szturm na miasto. W pełnych kolumnach ruszyły do ataku szeregi ruskiego żołnierza, wspierane oddziałami petlurczyków. Artylerya polska biła bez przerwy, chociaż cel miała bardzo utrudniony, bo idących do szturmu ruskich żołnierzy w zadymce śnieżnej niemal nie można było dojrzeć, a druty telefoniczne wskutek opadów śniegu ustawicznie się rwały.

Rusini zaatakowali znów wielkiemi siłami od strony Persenkówki, a równocześnie po przeciwnej stronie miasta od strony Brzuchowic. Ciężka artylerya ruska biła w elektrownię miejską na Persenkówce, niszcząc zakłady elektryczne. Miasto pozostało bez światła, w zupełnej ciemności.

Był moment krytyczny, kiedy oddziały ruskie dostały się już pod Mszaną i Persenkówką w okolicę toru kolejowego, a zerwawszy szyny kolejowe, odcięły miasto od zachodu. Wojsko polskie obowiązek swój spełniło znakomicie. Mimo przewagi liczebnej wroga, biło się zażarcie, ustępując tylko nieznacznie z zajmowanych pozycyj.

Pod Rzęsną Polską bohaterskich czynów dokonały oddziały polskich Legionistek. Kilkanaście Legionistek padło na posterunku, kilkanaście dostało się do niewoli, w której poniosą śmierć męczeńską, hajdamacy bowiem żadnej z wziętych do niewoli Legionistek nie darowują życia.

Jakkolwiek wszystkie ataki Ukraińców krwawo odparto, miasto poniosło nowe straty od ognia nieprzyjacielskiego. Pociski artyleryi ruskiej padały nawet w śródmieściu, uderzały w kościoły, burzyły domy, zabijały ludzi. Nie osłabiło to jednak energii bohaterskich obrońców Lwowa, którzy ostatkiem sił, lecz niezłomnie bronią honoru Polski na kresach.



Sala posiedzeń w gmachu sejmowym po inwazyi ukraińskiej



**Ze strasznych dni Lwowa**: Widok sali i kancelaryi marszałkowskiej w gmachu sejmowym.

## Sprzymierzeńcy polscy z garnizonu niemieckiego w Warszawie.

W garnizonie warszawskim znajdowało się mnóstwo Alzatczyków i Lotaryńczyków w służbie pruskiej. Kiedy pobyt Besselera ciążył jak zmora nad miastem i krajem, nie wszyscy z założonymi rękami czekali aż się pruski opiekun wyniesie. Znaleźli się ludzie, co z narażeniem własnego życia przygotowywali się do czynu. Niejaki Bolesław Swida (inżynier Stolarczyk z Krakowa) wraz z innymi wyszukał wszystkich Alzatczyków i Lotaryńczyków w garnizonie warszawskim, jako *socios doloris* Polaków i z nimi przygotował zamach na Besselera. Był to formalny tajny komitet, na którego czele stał p. Stolarczyk.

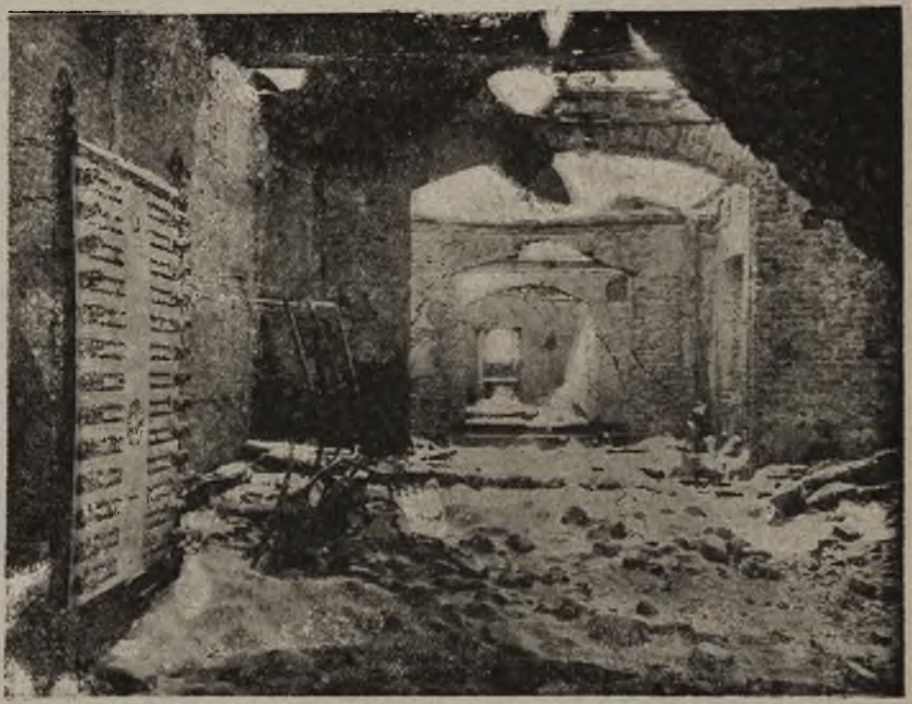
Lecz przyszedł przewrót z 11. listopada 1918, a zamierzona akcya stała się bezprzedmiotową. — Wszyscy ci sprzymierzeńcy po tym dniu otwarcie wystąpili jako Francuzi i pomagali polskim wojskom w Warszawie w pełnieniu służby straży bezpieczeństwa. Wtedy to inż. Stolarczyk został ranny w rękę. Przed dwoma tygodniami odwiózł dziel-



**Ze strasznych dni Lwowa**: Zniszczone sale w prezydyum policyi we Lwowie



Sala Unii Lubelskiej w gmachu sejmowym



Ze strasznych dni Lwowa: Zburzony oddział telegraficzny w gmachu pocztowym.

nych Alzatczyków p. Stolarczyk do granicy, skąd pociągiem udali się do ojczyzny. I im danem było doczekać się tej szczęśliwej chwili zmiany munduru pruskiego na francuski.

## Misteryum Strindberga na scenie Teatru krakowskiego.

(Do illustracyi na str. 5 i 6).

Z ciekawym eksperymentem wystąpił teatr krakowski, wystawiając misteryum Strindberga p. t. „Adwent“ — dzieło o zakroju religijnym, o silnem dramatycznem napięciu, osnute na filozoficznem rozpięciu kwestyi zbrodni i kary. W przeciwstawieniu do Dostojewskiego Strindberg dopuszcza w rozwiązaniu ekspiacyę w duchu pojęć chrześcijaństwa, przeprowadzając dwie główne postaci przez długi szereg scen i obrazów, rozpatrujących ich grzeszne życie i karę, zmazującą ich winy w wieczór Bożego Narodzenia.

Teatr nasz przygotował sztukę Strindberga, przedstawiającą pole do rozwinięcia pomysłów inscenizacyjnych i stylu teatralnego, bardzo starannie. Pod reżyseryą dyr. Trzcińskiego przedstawienie wykazało ogromny nakład pracy i studyum przygotowawczego w plastyce obrazów.

Główne role znalazły świetnych wykonawców w panu Noskowskim, p. Czaplińskiej, Łuszczkiewicz-Gallowej i p. Bończy, których talent uplastycznił znakomicie odczuwane pomysły skandynawskiego autora.

## Piłsudski we Lwowie.

Przed kilkunastu dniami bawił w Galicyi komendant Piłsudski. Przez dwa dni zatrzymał się w Krakowie, poczem udał się do Przemyśla. Do Lwowa przyjechał w sobotę 21 grudnia. Komendantowi towarzyszyli jenerał dywizyi Rozwadowski i oficerowie polscy z oddziałów Muśnickiego i armii Hallera. Kom. Piłsudski zamieszkał w hotelu Georgea, a wieczór spędził w towarzystwie jeneralicyi i sztabu. W niedzielę rano wyjechał w towarzystwie jen. Rozwadowskiego jen. Leśniewskiego, podpor. Tokarzewskiego, swoich adjutantów oraz grona oficerów na przegląd wojsk, stojących na pozycyach.



Ze strasznych dni Lwowa: Wnętrze dyrekcyi poczt.

Naczelnik zjawił się na pozycyach 5 pułku piechoty oraz pierwszego pułku strzelców lwowskich, odebrał raporty, dochodząc osobiście do najdalszych wedet. W Sucpkowie był na zaprzysiężeniu 9 kompanii 5 go pułku piechoty, poczem powrócił do Lwowa.

We Lwowie zwiedził koszary 5 pułku, w których odbyła się rewia, a następnie w gmachu Naczelnego Dowództwa odbył konferencyę, na której omawiano sprawy operacyjne i organizacyjne. Komendant zapowiedział jak najdalej idącą pomoc i natychmiastowe posiłki. Po obiedzie, który spożył w menaży oficerskiej, przyjął reprezentanta P. K. L. hr. Aleksandra Skarbka, z którym dłuższy czas konferował, dalej członków T. K. R. i prezydyum miasta: Dr. Stesłowicza, Chlamtacza, Hausnera, Dr. Adama oraz Neumanna i Schleichera. Naczelnik państwa oświadczył że dołoży wszelkich starań i sił, aby zapewnić miastu bezpieczeństwo i spokój, zarówno pod względem wojskowym, jak i aprowizacyjnym. Wprawdzie położenie Lwowa, leżącego na froncie, musi być z natury rzeczy ciężkie, należy mieć jednak nadzieję, że męskie stanowisko ludności miasta ułatwi zadanie wojsk, które dają pełną rękojmię zabezpieczenia Lwowa.

Następnie złożyli naczelnikowi państwa wizyty X. arcybiskup Bilczewski i marszałek Niezabitowski. O godzinie 7 wieczorem opuścił komendant Piłsudski Lwów i udał się wraz z jenerałem Rozwadowskim i świtą w drogę powrotną do Przemyśla. Przed odjazdem wyraził komendant Piłsudski uznanie i podziękę Naczelnemu Dowództwu na wschodzie i rozszerzył jego dotychczasowe kompetencye.

## Kurs narciarski w Zakopanem.

Podobnie jak w innych latach, zgromadziło Zakopane i w tym roku w czasie świątecznym stosunkowo wielką liczbę sportowców zimowych, w tem



Sprzymierzeńcy polscy z garnizonu niem. w Warszawie: Grupa Alzatczyków i Lotaryńczyków, którzy zorganizowali się w Warszawie



**Do ojczyzny**: Pociąg austryacki wiozący żołnierzy powracających z frontu włoskiego — w drodze do Galicyi.

przeważnie narciarzy. Na europejską skalę urządzony i z wielką starannością zorganizowany kurs narciarski Tatrzańskiego Tow. Narciarzy z Krakowa, odbył się przy sprzyjających warunkach



**Kurs narciarski w Zakopanem**: Uczestnicy kursu przed hotelem „Sport". (X) Kierownik kursu inż Bobkowski.

śnieżnych w czasie od 26 do 30 grudnia ubiegłego roku z udziałem 66 uczestników. Osobny pociąg przywiózł gości 25 grudnia popołudniu do Zakopanego. Wieczorem zapoznali się uczestnicy na zebraniu w hotelu „Sport", witani tam przez gospodarza kursu, p. T. Janikowskiego. Nastąpiły miłe, lecz żmudne ćwiczenia jazdy na nartach zreformowaną metodą norweską, zastosowaną do trudnego terenu tatrzańskiego. Stoki Antałówki, pod Reglami i Kalatówek roiły się od sylwetek narciarzy, ginących od czasu do czasu w tumanach puchu śnieżnego.

Wieczory spędzano wesoło w gabinecie Sichulskiego hotelu „Sport" na zebraniach towarzyskich, urozmaiconych koncertową grą na skrzypcach profesora M. Szaleskiego z akompaniamentem p. prof. Piltzowej, oraz piękną grą na fortepianie p. Kaweckiej.

Zakończono kurs wycieczką instrukcyjną przez Goryczkową na szczyt Kasprony, ze zjazdem do Hali Gąsiennicowej i z powrotem przez Boczań do Zakopanego. Ciężkie warunki atmosferyczne nad Przełęczą Suchą w postaci wichury niosącej śnieg i lód, złoże nowo spadłej lawiny u stóp Kasprowego od strony Hali Gąsiennicowej, oraz niezbyt łatwy zjazd, dały uczestnikom kursu możność poznania niebezpieczeństw i trudności, jakie nastręcza turystyka zimowo wysokogórska.

Z pieśnią na ustach wracali codziennie narciarze przez ulice Zakopanego, budząc podziw swoim zdrowym i pogodnym wyglądem.

Uczył jazdy na nartach inż. A. Bobkowski, znany autor nowo wydanego „Podręcznika narciarskiego". Pomagał w nauce p. A Reim. Opiekunem młodzieży szkolnej był dyr. prof. A. Jaworski.



**Ze strasznych dni Lwowa**: Szkoła kadecka.

## Do ojczyzny.

Jednym z najtrudniejszych problemów likwidacyi obecnej wojny okazała się demobilizacya. Rozpuszczenie do domów milionowych armii, zgromadzonych na frontach, wywołało we wszystkich państwach niezwykły chaos i dezorganizacyę, a żołnierze, w chwili, gdy zdawało się, że skończyła się wreszcie ich męka w rowach strzeleckich, musieli przejść całe piekło nowych tortur, zanim dostali się do kraju. O głodzie i chłodzie, natłoczeni w nieopalanych wagonach, w których siłą nieraz musieli zdobywać miejsca, spieszą żołnierze do kraju, a wielu z nich, którzy przetrwali szczęśliwie czteroletnie walki, nie przetrzymało trudów tej podróży, ginąc po drodze.





Przypinanie nart na Kalatówkach. **Kurs narciarski w Zakopanem**: Wyjście pod górę.

# Powrót wodza angielskiego do ojczyzny.

Po ugoszczeniu sprzymierzonych dyplomatów i dygnitarzy, święciła Anglia własną, krajową uroczystość, jaką był powrót naczelnego wodza wojsk angielskich na froncie zachodnim, sir Douglesa Haigh. Powrót ten był jedną tryumfalną manifestacyą, począwszy od portu Dover, gdzie Haigh wylądował, aż do prywatnego jego mieszkania w Kingston, gdzie urządzono mu w nocy pochód z pochodniami.

Na dworcu w Harring Chers prócz tłumu publiczności i żołnierzy, oczekiwała zwycięskiego feldmarszałka grupa złożona z najwybitniejszych mężów stanu, jakich posiada Anglia, a więc Lyod George z córką, lord Asquith z żoną, Balfour, Churchill, Bonar Law, sir Robertson i wielu, wielu innych; oprócz tego cały sztab wyższych oficerów. Króla zastępował książę Connaught. Pierwsze słowa po po wyjściu na peron zamienił sir Douglas Haigh z poprzednikiem swym w naczelnem dowództwie armii, lordem French'em, obaj wodzowie powitali się serdecznym uściskiem dłoni, zaznaczając ostentacyjnie, że niema między nimi współzawodniczej niechęci.

Tłumy ludności, zgromadzone przed dworcem i na peronie, na ulicy, we wszystkich oknach, na balkonach, zgotowały powracającemu niebywałą owacyę. Rozdzwoniły się wszystkie dzwony, witały go strzały armatnie, orkiestry wojskowe, trąby; nad głowami jadących polatywało kilkanaście aeroplanów. Szczególnie gorący entuzyazm ujawnił się ze strony żołnierzy i kobiet; te ostatnie zostawały widocznie pod urokiem niezwykłej urody feldmarszałka, który jest wyjątkowo pięknym mężczyzną. Witały go okrzykami: „*God bless you*“. „Niech cię Bóg błogosławi“, po których następował wyraz czysto kobiecego zachwytu: „Ach! jaki piękny!“ *Hoio handsome he is!* Echo tych okrzyków towarzyszyło mu aż do pałacu Buckingham, gdzie rodzina królewska przyjęła go w nielicznem, poufnem niemal gronie, bez urzędowego charakteru, przyjacielskim lunchem.



**Piłsudski we Lwowie**: Tłumy publiczności witają komendanta Piłsudskiego. (Fot. M. Münz)



**Przewrót w Berlinie** Liebknecht przemawia do zwolenników Spartakusa



**Powrót wodza angielskiego do ojczyzny**: Królowa matka ang. Aleksandra wita marszałka Haiga.

## Z żałobnej karty.

W Warszawie zmarł najstarszy wiekiem komedyopisarz polski Kazimierz Zalewski.

Z ś. p. Kazimierzem Zalewskim, urodzonym w Płocku w roku 1849, schodzi do grobu jeden z najpopularniejszych komedyopisarzy polskich w latach ośmdziesiątych. Napisał wiele komedyi, granych w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu. Teatr krakowski w ostatnich czasach z pełnym sukcesem wystawił jego komedyę „Przed ślubem“. S. p. Kazimierz Zalewski w dobie rozkwitu swego talentu był obok Blizińskiego, Bałuckiego, E. Lubowskiego, Sarneckiego autorem bardzo często grywanym na scenach polskich. Był nadto od r. 1875 redaktorem dziennika „Wiek“. Zasługi jego dla teatru polskiego są niepowszednie, a najlepsze jego komedye, odznaczające się doskonałą obserwacyą, humorem i zacięciem satyrycznem mimo upływu lat i dzisiaj jeszcze z powodzeniem mogą być wznowione.



**Z żałobnej karty**: S. p. Kazimierz Zalewski.

# Kronika tygodniowa.

Sprawozdanie z przebiegu świąt Bożego Narodzenia nie było kompletne, ograniczyć się bowiem musiało w poprzednim numerze na samej wigilii. Na resztę nie starczyło miejsca, choć prawdę powiedziawszy, to i nie było o czem pisać, oba bowiem dni świąt nie różniły się niczem od zwykłych dni powszednich, chyba tam, że wyjątkowo mieliśmy wcale znośną pogodę.

Swięta Barbara w tym roku dopisała. Jej imieniny były „po wodzie", wobec czego należało być na to przygotowanym, że Boże Narodzenie będzie „po lodzie". I tak też było. Lodu w ścisłem tego słowa znaczeniu nie było wprawdzie, ale było sucho i pogodnie. Jeśli wierzyć przysłowiom gospodarskim, w takim razie należy być na to przygotowanym, że Wielkanoc będziemy mieć „po wodzie", zwłaszcza, że w tym roku obchodzimy ją równocześnie z dziatwą Izraela.

To znów nie zgadza się z inną przepowiednią meteorologiczną na rok 1919. Ojcowie nasi notowali bardzo skrzętnie stan pogody od dnia świętej Łucyi (13 grudnia) począwszy, a na dniu wigilijnym skończywszy. Każdy dzień to prognoza na jeden miesiąc roku przyszłego. Według mych zapisków tegorocznych dzień 16 grudnia, odpowiadający miesiącowi kwietniowi w roku następnym, był rano nieco mglisty, potem pogodny, więc też i kwiecień powinniśmy mieć ładny. Ale to nie jest zupełnie pewnem, nie zdziwiłbym się więc wcale, gdyby moje przepowiednie zawiodły. Wszak i słynnemu Falbowi niezawsze się to udawało. Ten sam los spotkał i prognozy pewnego tarnowskiego meteorologa na rok 1918, wydane na każdy dzień osobno na podstawie właśnie stanu pogody od dnia św. Łucyi do dnia wigilijnego w roku 1917. Nie sprawdziły się w dziewięćdziesięciu procentach, ale to już zwykły los wszelkich przepowiedni!

Pogoda więc w same święta Bożego Narodzenia dopisała zupełnie, ale co innego nie dopisało. Z wieczoru wigilijnego zamiast lina z kapustą, który miał być w pierwsze święto odgrzany na drugie śniadanie, zostało tylko pragnienie i nic więcej. A tak ono dokuczało nie tylko kronikarzowi, ale widocznie i innym Krakowianom, że z nadmiaru pracy pękła rura wodociągowa, nie mogąc nastarczyć zapotrzebowaniu bielańsko-choleryzyńskiej wilgoci. To zresztą zdarza się często. Pękają rury inne, pękać mogą temsamem i magistrackie, bo cóż one od tamtych gorszego?...

Po skromnym obiadku spacerek, nie tylko ze względu na zdrowie, ile raczej aby się w ten sposób uchronić od niepożądanych odwiedzin tak zwanych przyjaciół, którzy cię nie tylko objedzą i opiją, ale potem jeszcze obgadają. Spacer zresztą podniesa apetyt, czego się dziś powinno unikać, choć aprowizacya, jak powiadają, z dnia na dzień się poprawia (ale może nie u nas?... przyp. zecera).

Na plantacyach spotkanie ze znajomą rodziną, która oświadcza, że wybrała się do nas w odwiedziny (ośm i pół osoby, wliczając małe dziecko i niańkę...). Wyrażam z tego powodu ogromne zmartwienie ze względu na ową staropolską cnotę gościnności, ale w duchu dziękuję Opatrzności za to, co się stało.

— A my — oświadczam znajomym — szliśmy właśnie do państwa kochanych, by w waszem miłem towarzystwie spędzić kilka chwil... Ale trudno!... Widocznie Opatrzność tak już zrządziła... Aby jednak nikomu nie była krzywda, mam doskonały projekt...

— No, jakiż?... — zagadnięto mnie chórem.

— Pogoda dopisała, chodźmy wobec tego na Błonia na spacerek...

Weronika spojrzała na mnie z wyrazem wdzięczności, członkowie zaprzyjaźnionej rodziny pospuszczali nosy na kwintę, ale nie wypadało oponować... Przez Wolską pociągnęliśmy razem na Błonia, skąd dość rychło nastąpił powrót do miasta, potem jeszcze mała przechadzka po plantacyach „by ludzi zobaczyć..." i pożegnanie bardzo czułe z wyrażeniem obopólnego żalu, że się tak piękne zamiary jakoś dziwnie pokrzyżowały...

Drugi dzień świąt, czwartek, jota w jotę podobny do swego poprzednika, zwłaszcza, że lokal śniadankowy, do którego kronikarz od czasu do czasu „wpada", zamknięty. A iść gdzieindziej, między obce towarzystwo, to się nie opłaci. Popołudniu odwiedziny u znajomych, których na szczęście zastaje się w domu. Zapasów świątecznych nie mieli jeszcze zjeść czasu, ani wypić, pomagamy im w tem chętnie i skutecznie.

Następnie pięć dni krytycznych pierwszego rzędu, bo stanowiących koniec miesiąca. Choćby człek nie chciał, musi prowadzić spokojny i przyzwoity żywot, jak przystało dla zrównoważonego obywatela, mającego zamiar postawić swą kandydaturę przy najbliższych wyborach do konstytuanty i to na zasadach własnego, dopiero utworzyć się mającego stronnictwa.

Nastąpił wieczór Sylwestrowy, mający to do siebie, iż najhuczniej obchodzą go ci, którzy rok swój kończą nie w grudniu, ale we wrześniu.

W roku 1918 na ogół w dniu tym bawiono się daleko skromniej niż po inne lata. Złożyły się na to różne okoliczności, głównie zaś smutne wiadomości, jakie nadeszły ze Lwowa. Tam hula hajdamaczyzna, więc nam bawić się nie tylko nie wypada, ale i nie wolno. Wolno to natomiast uczynić tym, którzy się do nas nie chcą zaliczać. Oni też bawili się, ale bez animuszu, gdyż znów popsuła im humor nowa serya wyroków za lichwę aprowizacyjną i zapowiedź dalszego ciągu.

Przy tej sposobności pokazało się, że większość naszych kupców to lichwiarze i paskarze, grożą bowiem, że w odpowiedzi na to „prześladowanie" pozamykają swe sklepy. Ogół jakoś to zniesie, ale pod warunkiem, że taki pan, który teraz sklep zamknął na znak protestu, nigdy już karty przemysłowej na prowadzenie interesu nie otrzyma.

Że zaś darcie skóry odbywa się mimo to w dalszym ciągu i to jeszcze z pewnem nasileniem, zapewne dlatego, aby mieć fundusz na spodziewaną karę, najlepszy dowód, że w dzień wigilii pewna firma (katolicka...) sprzedawała cukierki, rzekomo „warszawskie", po sześćdziesiąt koron za kilogram, a w Sylwestrowy wieczór pewien cukiernik żądał za pączka, nie o wiele większego od dużej pigułki, tylko... koronę i pięćdziesiąt halerzy. Choć nie jestem artystą w jedzeniu, podejmuję się takich pączków zjeść na jedno posiedzenie pół kopy i to bez zbytniego wysiłku.

„Do osłabienia „podniosłego nastroju" w Sylwestra przyczyniło się też poniekąd i rozporządzenie polskiego rządu, polecające wojskowym, powołanym do służby na czas wojny, a mającym „w cywilu" jakie urzędowe zajęcie, powrót do takowego, lub rezygnacyę. Wielu nie poszło to w smak, boć to bardzo było przyjemnie brać dwie pensyjki, a w gruncie rzeczy nic nie robić. Według ostatnich obliczeń, z końcem grudnia wypadało w Krakowie trzech oficerów na jednego szeregowca...

Pobrzękiwanie szabelką, to rzecz przyjemna, bra nie dwu pensyek, lub choćby tylko jednej, ale z dodatkiem wojennym też nie jest do pogardzenia, jeśli jednak przyjdzie do czego (dajmy na to, organizowanie wyprawy na odsiecz Lwowa...) każdy chętnie się cofa i oświadcza gotowość odstąpienia pierwszeństwa innym. Naczynił nas tego „sztandowi" oficerowie austryaccy w czasie wojny, przedkładający pobyt w *Hinterlandzie* lub etapach nad niepotrzebne narażanie się w rowach strzeleckich. Sposobność do odznaczenia się tamże zostawiali łaskawie kolegom z rezerwy, tłumacząc, że po wojnie będą potrzebni jako organizatorowie przyszłej armii. Że się ich nadzieje nie spełniły, to nie ich wina. Oni pragnęli tylko dobra swej c. k. ojczyzny i dla niej salwowali swe życie i zdrowie.

Sylwestrowy wieczór spędził kronikarz, jak zwykle, w domu, układając sobie mowę kandydacką, na wypadek, gdyby stronnictwo, które ma zamiar powołać w najbliższym czasie do życia, uznało go za godnego do piastowania mandatu. Nad jej ułożeniem pracował kilka godzin, a pomagała mu cała rodzina, okazująca już wybitne polityczne uświadomienie w duchu bardzo postępowym i co do równouprawnienia obu płci, ogromnie też zgorszona tem, że obecnie zacyna służba męska wypierać powoli żeńską, na przykład w tramwaju i gdzieindziej.

Dziś, w przededniu stanięcia przed urną wyborczą, każda niewiasta czuje w sobie siły na „żonę stanu", skoro bowiem mężczyźni bywają „mężami stanu" *ergo* kobietom należy się stanowczo tamten tytuł.

Nowy Rok 1919 powitał kronikarz już w łóżku, należało bowiem iść wcześniej spać nie tyle z powodu braku materyału oświetleniowego, ile ze względu na okoliczność, że nazajutrz ma się mieć do czynienia z liczną rzeszą gratulantów noworocznych i samemu musi się być przygotowanym na wystąpienie w tej roli.

O życzeniach w gronie rodziny nie mówię... Rok rocznie powtarzają się one prawie dosłownie. Życzy się nawzajem, by rok następny był lepszy, niż poprzedni, tymczasem potem okazuje się, że szelma był daleko gorszy...

To samo powiedzieć można i o innych życzeniach, choć w tym roku różniły się one nieco od dawniejszych. Przedewszystkiem gratulantów było mniej, a to dlatego, że ci, którzy dawniej żyli ze składania życzeń, dziś, dorobiwszy się na wojnie, sami je przyjmują, ponadto przyczyniła się do osłabienia tego „ruchu" niepogoda w pełnem tego słowa znaczeniu.

Zjawili się wprawdzie stróż i stróżka, kominiarz, listonosz i listonoszka i t. d., ale nie tak wcześnie, jak po inne lata, dopiero około dziesiątej. Gdy już byli w komplecie zebrani, wpadłem do kuchni i tam wygłosiłem do nich mowę noworoczną, którą zakończyłem w ten sposób:

— Dziękuję zatem serdecznie za złożone mi życzenia, bo nie wątpię, że z serca pochodzą. Słyszałem je już zresztą tyle razy... Ze względu jednak, że, o ile wiem, dzienny dochód obywatela stróża z roznoszenia paczek i znoszenia węgli wynosi nawet i sto koron, a zarobek reszty szanownych obywateli i obywatelek zapewne mu dorównuje, jeśli go nie przewyższa, mój zaś, po tylu latach studyów ogranicza się coś zaledwie do dwudziestu, pozwolicie, że w tym roku ograniczę się jedynie na ustnem podziękowaniu!...

To im się widocznie nie podobało, choć widziałem, że miny były poważne, wskazujące na wzruszenie. Stróżka obcierała nawet nos palcem, prawdopodobnie z rozczulenia...

Cóż jednak było robić, skoro widzieli, że do kieszeni nie sięgam... Powoli zaczynali zwijać front i opuszczać zajmowane dotąd pozycye.

Gdy już byli na schodach, doszły mnie stamtąd ich głosy:

— A to ci burżujowi przyszło na koniec!

— Tak!... Ale był i czas na to!... Bo też wydziwiał zanadto!... Dziś mu się jeszcze zachciewa czegoś... Raz brama zbyt wczas zamknięta, to znowu zapóźno otwarta, na schodach się nie świeci, nie pozamiatane, śnieg nie zgarnięty... Tak, jak gdyby człowiek nie miał nic lepszego do roboty...

— Swięte słowa pana Walentego... Ja tam w mem życiu już niejeden komin wymiotłem, to wiem, co to znaczy. Grymasili burżuje, ale raz im nareszcie przyszło na koniec... Teraz my im pokażemy, jak świat powinien być urządzony... A możebyśmy tak, panie Walenty, do Maurycego skoczyli na kubek?... Ale z dobrodziejką, bo to teraz równouprawnienie!

— Myślę sobie, że nie bezemnie!... A możebyśmy tak zaprosili tego literata?... Niech sobie chudzina też golnie przy tym Nowym Roku...

— Co to, to nie!... Ja tam wiem, że on łyknąłby z ochotą, ale nie powinno się ludzi uczyć żyć nad stan. Skomli, że nie ma hopów, niech pije wodę... A jak jesteśmy w swojem towarzystwie, to wiem przynajmniej, że, jak ja postawię, to potem pan krzyknie... Dobre twoje, dobre moje... Poco go narażać na to, by się musiał tłumaczyć, że go nie stać na to, by zapłacić kolejkę...

— Swięte słowa pana Walentego!... Takie, co to, jak powiadają, węglem w kominie pisać!...

— Jak to zaraz poznać fachowego człowieka!... — dodała z uznaniem pani Walentowa...

Z kolei i ja poszedłem według zwyczaju do mojego gospodarza, by mu powinszować, zapłacić czynsz i dowiedzieć się, kiedy się można spodziewać... podwyżki.

Zastałem go nie w sosie...

— A cóż to kochanemu radcy dolega? — zapytałem.

— Coraz gorzej, łaskawy panie — odpowiedział. — Ot, dopiero przed chwilą wypowiedział mi stróż!

— Tego nie powinno się znów zbytnio brać do serca. Poszedł jeden, znajdzie się drugi!

— Ale pan mnie nie rozumie!... On mi inaczej wypowiedział!... Oświadczył mi, że teraz nastąpi podział własności między tych, którzy nic nie mają, a moja kamienica przypada akurat dla niego... Od kwartału zajmuje moje mieszkanie, a mnie łaskawie raczył obiecać, że będę miał pierwszeństwo, jeśli się będę ubiegał o posadę stróża w jego realności... Jak widzę trzeba będzie pomyśleć o założeniu „Ochrony kamieniczników"...

I tak był tem przejęty, że widocznie zapomniał o podwyższeniu czynszu, a ja mu też nie przypominałem, bo go już znam na tyle, iż wiem, że sobie zawsze przypomni na czas i obejdzie się przy tem bez obcej pomocy.

W kawiarni, do której zwykle uczęszczam, kelner złożył mi też życzenia, a ja mu za nie również pięknie podziękowałem, zapewniając, że na inny dowód wdzięczności zdobyć się nie mogę, gdyż po siedmnastu latach studyów szkolnych i drugiej takiej serwi prywatnych, jestem w tem miłem położeniu, iż mam tyle, że mogę robić długi, by módz żyć, ale nie potrafiłbym się zdobyć na to, by naprzykład z zarobku wojennego kupić interes swego pryncypała, jak to czynili jego zawodowi koledzy.

Przyznał mi widocznie racyę... Gdy odszedł, spostrzegłem obok mego nakrycia papierową dziesięciokoronówkę. Skąd się tam wzięła, nie wiem, ale ja jej tam nie położyłem bynajmniej.

Czyżby kelner?... Nie mogłem go o to zapytać, gdyż przez cały wieczór widocznie mnie unikał, choć zauważyłem, jak kilka razy rzucił w mą stronę wzrokiem pełnym politowania, jak gdyby chciał powiedzieć:

— A widzisz!... I na cóż ci się przydadzą twe mądrości, skoro dziś pieniądz to grunt, a ten mądry, kto bogaty...

I pod taką wróżbą ro począłem rok 1919.

# Z tygodnia.

## Wielkopolska chwyciła za broń.

Gazety przynoszą obszerne opisy ostatnich walk o wyzwolenie Wielkopolski, podnosząc, że społeczeństwo wielkopolskie wykazało niezwykłą sprawność organizacyjną. Sprowokowane przez Niemców potrafiło opanować miasto Poznań i rozbroić załogę niemiecką. Demonstracye związane z przyjazdem pp. Paderewskich do Poznania doprowadziły tamtejszych Niemców do wściekłości. Przed południem dnia 27. grudnia u. r. zaczęli Niemcy organizować kontrdemonstracyę, zapowiadając ją na godzinę wpół do drugiej po południu. O tej porze zaczęli Niemcy zrywać sztandary koalicyjne — a w wielu miejscach i polskie. Pochód Niemców szedł do miasta i zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieści się Naczelna Rada Ludowa. — Tutaj Niemcy zdjęli z gmachu sztandary francuskie, angielskie i amerykańskie. Po drodze przez miasto zrywano również sztandary koalicyjne i polskie. — Ze strony polskiej reagowano na to niejednokrotnie w sposób krwawy. Niemcy rozzuchwalali się coraz więcej. Oddział wojska niemieckiego zjawił się z karabinami maszynowymi przed lokalem polskiego Bazaru, gdzie zamieszkali pp. Paderewscy i misya koalicyjna i zaatakowali gmach. Dopiero wówczas wystąpili Polacy. Straż obywatelska odpędziła napastników, a na ulicach miasta rozpoczęła się formalna bitwa. Walka zaostrzała się coraz bardziej i zdawała się przybierać postać groźną dla Polaków, gdyż Niemcy ustawili kulomioty na kościele i na placu św. Piotra i strzelali do Polaków. — Niemcy strzelali z ukrycia z okien domów, Polacy zaś zdobywali szturmem domy, z których strzelano i gmachy rządowe, a rozbrajając Niemców zaopatrywali się w ten sposób w broń. Dopiero zdobycie brawurowym atakiem arsenału dostarczyło dostatecznej ilości broni i amunicyi. Po kolei zajęto gmach regencyi, policyę, pałac cesarski i dworzec kolejowy. Po dwóch dniach cały Poznań znalazł się w rękach polskich. Operacyami dowodził były naczelnik Sokoła w Berlinie, Lange, naczelnik Związku sokolstwa polskiego na Rzeszę niemiecką. Zorganizował on 9000 ludzi, zbrojnych w karabiny i granaty ręczne. W walkach uczestniczyli także kobiety i dzieci. Odznaczyli się skauci. Zdobycz w Poznaniu przedstawia się bardzo poważnie. — Pierwszej nocy zdobyto na Niemcach przeszło 120 karabinów maszynowych, w ręce polskie dostały się również wielkie zapasy ubrań i materyału wojskowego. Sześć baterYi artyleryi poddało się bez wystrzału. Straty w zabitych po obu stronach wynoszą po kilkudziesięciu ludzi. Liczba rannych nie stwierdzona, lecz jest znaczna. Wobec tych wypadków Rada Naczelna wydała rozkaz zamykania okien i bram domów, oraz ogłosiła w mieście stan oblężenia, zakazując wychodzić na ulicę po godzinie piątej wieczorem. Z rozkazu Rady Naczelnej aresztowano w Poznaniu pastora Graeulicha oraz właściciela składu towarowego Petersdorfa i dra Cohna za podjudzanie przeciw Polakom. — Jednocześnie z akcyą w mieście odbywało się zajmowanie przez siły polskie fortów otaczających Poznań. Nie było to zadanie trudne, gdyż już poprzednio postarano się o to, aby na każdym forcie dwie trzecie załogi stanowili Polacy. To też siedm fortów zajęto bez walki, a tylko jeden fort na Jeżycach stawił opór. Równocześnie z zajęciem kolei wysadzono w powietrze tor kolejowy pod Krzyżem, na linii wiodącej do Berlina, dla uniemożliwienia nadesłania posiłków niemieckich. — W niedzielę wydano rozkaz opanowania kolei Poznań—Kalisz. Tylko w Ostrowiu załoga niemiecka stawiała opór. Walka zakończyła się rozbrojeniem Niemców. Służbę na linii Poznań—Ostrów objęli kolejarze Polacy. Oddziały wojskowe, wysłane z Kalisza, przekroczyły dawną granicę i zajęły miejscowość graniczną po stronie poznańskiej Skalmierzyce. Zajęto również miasto powiatowe Witkowo i szereg miejscowości na granicy poznańskiej. Wiadomość o wypadkach w Poznaniu rozeszła się szybko po okolicy. Do Poznania przybywali na wozach mieszkańcy Środy, Swarzędza, aby wziąć udział w walkach. Środa, Jarocin, Pleszew i inne miasteczka okoliczne są już w ręku Polaków. Gniezno zajęte jest przez Polaków. Ludność polska stoczyła tam zacięte walki z załogą niemiecką, składającą się z części dwóch pułków, rozbrojono je i obsadzono miasto i dworzec. W czasie walk o Poznań wysłali Niemcy ze Szczecina i Wrocławia silne oddziały Heimatschutz-Ost. Pociąg wiozący oddział ze Szczecina dojechał tylko do stacyi Pnk, gdzie go z łatwością rozbrojono. Oddział wysłany z Wrocławia dotarł aż do dworca poznańskiego, tutaj jednakże również został rozbrojony. Z Berlina wysłano posiłki na Górny Śląsk.

W czasie walk w Poznaniu Niemcy ostrzeliwali samochód angielskiego członka misyi koalicyjnej, pułkownika Rawlinga. Niemcy zdarli z samochodu tego chorągiew angielską. Pierwszy zaczął strzelać do tego samochodu policyant niemiecki, którego jakiś żołnierz polski uderzeniem kolbą rozciągnął na miejscu. O zajściach w Poznaniu zawiadomiono telegraficznie Kopenhagę.



Ze strasznych dni Lwowa: Portrety marszałków sejmowych pocięte nożami przez Ukraińców.
Wł. hr. Dzieduszycki. Andrzej hr. Potocki.

## Przewrót na Ukrainie.

Od osoby, która opuściła Kijów w końcu grudnia otrzymujemy następujące informacye:

Z chwilą upadku dynastyi Hohenzollernów i ich rządu, znikła zarazem jedyna władza, której rola była decydującą dla dalszego rozwoju wypadków na wschodzie, a dowództwo niemieckie na Ukrainie stanęło nagle przed pytaniem: jaki jest dalszy cel przebywania wojsk niemieckich na Ukrainie. Odpowiedziano sobie, że jedynym celem pobytu wojsk niemieckich na Ukrainie jest utrzymanie porządku w kraju, aż do chwili, kiedy kongres pokojowy nowy porządek rzeczy ustali. Jednak żołnierze niemieccy utworzyli w ciągu kilku dni swoje rady, na które przeszła faktycznie cała władza nad wojskiem, a korpus oficerski stracił wszelką władzę nad armią. Jedynym zaś celem ogółu żołnierzy niemieckich stał się jak najrychlejszy powrót do kraju tak, że dowództwu niemieckiemu nie pozostawało już nic innego, jak tylko użyć jeszcze swego wpływu, aby żołnierze swego planu nie wykonali w sposób bezmyślny.

Hetman Skoropadskij zrozumiał wówczas, że dni jego władzy są policzone i postanowił szukać dla siebie oparcia.

Do Jass przybyła misya dyplomatyczna ententy; na jej czele stał konsul francuski Hennaut. Do niego tedy wysłał hetman swoich delegatów z prośbą o poparcie, lecz usiłowania te skutku nie odniosły, gdyż delegaci hetmana nie zostali nawet przez konsula francuskiego przyjęci. Wówczas hetman zwołał posiedzenie rady ministrów, której postawił do rozstrzygnięcia sprawę dalszej polityki państwowej Ukrainy. Rada ministrów po kilku posiedzeniach uchwaliła przeciw głosom ministrów narodowości ukraińskiej dążyć w przyszłości do federacyi z Rosyą i połączyć usiłowania swoje z tą grupą w Rosyi, która skoncentrowała nad Donem i Kubanią swoje siły do walki z bolszewikami.

Opierając się na tej uchwale, hetman wydał hramotę do narodu, obwieszczając dalszy program działania w duchu powziętej uchwały, pozwolił na tworzenie armii ochotniczej do walki z bolszewikami i wysłał równocześnie nowych delegatów do Jass w celu nawiązania stosunków z koalicyą.



Ze strasznych dni Lwowa: Portrety marszałków sejmowych pocięte nożami przez Ukraińców
Ludwik hr. Wodzicki. Leon książę Sapieha.

Tymczasem ministrowie narodowości ukraińskiej wystąpili z rządu, a w Białej Cerkwi utworzył się dyrektoryat pod przewodnictwem Petlury, który ogłosił hetmana i jego rząd za wyjętych z pod prawa i podjął przeciw niemu powstanie. Po stronie dyrektoryatu stanęła część wojsk hetmańskich oraz ludność wiejska, której obiecano ziemię. W kilka dni po wybuchu powstania wszystkie linie komunikacyjne zostały poprzerywane i Kijów znalazł się faktycznie odciętym od świata. Mieszkańców miasta i załogę niemiecką Kijowa utrzymywano w przekonaniu, że nowy program hetmana został przez koalicyę zatwierdzony oraz, że wojska koalicyi wkroczą do Kijowa. Kiedy jednak kilkakrotnie podawane wiadomości o zbliżaniu się wojsk koalicyjnych do Kijowa okazały się nieprawdziwe, rada żołnierzy niemieckich postanowiła nawiązać układy z wojskami Petlury w celu zapewnienia sobie możności opuszczenia Ukrainy. Raz jeszcze udało się hetmanowi zwieść żołnierzy niemieckich, którym podano do wiadomości, że koalicya domaga się od nich utrzymania porządku w kraju, aż do przybycia wojsk koalicyi.

Zwiedziona w ten sposób załoga niemiecka postanowiła siłą opanować linie kolejowe i rozpoczęła przeciw wojskom Petlury akcyę wrogą łącznie z wojskami hetmana, atoli po kilku dniach walki zniechęcone wojska niemieckie zawarły z wojskami Petlury zawieszenie broni, a wkrótce potem niemiecka rada żołnierska w Kijowie ogłosiła, że zachowa w przyszłości ścisłą neutralność i nie będzie stawiać przeszkody wejściu wojsk powstańczych do Kijowa. Los hetmana został w ten sposób zadecydowany.

Wojska powstańcze przeszły dnia 13 go grudnia do stanowczego ataku, o godzinie 2 po południu hetman złożył władzę i ukrył się wraz z członkami rady ministrów, a o godz. 7 wieczorem, po krótkich walkach ulicznych, w ciągu których żołnierze niemieccy rozbroili kilka oddziałów hetmańskich, miasto zostało przez powstańców względnie „wojska republikańskie“ całkowicie opanowane.

Władzę w mieście objęło dowództwo wojsk republikańskich, z rozkazu którego utworzył się komisaryat z 13 członków w celu sprawowania funkcyi ministrów, jako organ tymczasowy aż do przybycia członków dyrektoryatu. Porządek w mieście utrzymywały wojska ukraińskie, niemieckie, oddział polski i czeski. Tegosamego dnia nowo utworzony komisaryat ogłosił uroczyście przywrócenie wszystkich swobód obywatelskich, atoli już w dwa dni potem zawieszono wszystkie pisma. Z dzienników otrzymały pozwolenie wychodzenia tylko jeden rosyjski, jeden polski i pisma ukraińskie. Rozpoczęto rewizye domowe w celu wyszukania oficerów rosyjskich i ochotników, których internowano z tem, że zostaną odesłani do Rosyi niebolszewickiej.

W środę 18 grudnia odbył się uroczysty wjazd członków dyrektoryatu do miasta. Zapowiadano udział dyplomatów koalicyi, którzy jednak nie przybyli wcale. W sobotę 21 grudnia aresztowano dowódzcę wojsk ochotniczych generała Kellera wraz z dwoma adjutantami. Żołnierze eskortujący rozstrzelali wszystkich trzech pod pomnikiem Bohdana Chmielnickiego, gdzie aresztowani zamierzali rzekomo zbiedz. W próbę ucieczki nikt jednak nie wierzył, ponieważ generał Keller na aresztowanie był przygotowany i nie ukrywał się wcale. W ten sposób rozstrzelano także kilku innych oficerów. Aresztowania osób cywilnych są także na porządku dziennym. Wobec niejasności postępowania władz naczelnych i organów podwładnych w mieście zapanowało ogólne przygnębienie, nikt bowiem nie jest pewny wolności a nawet życia. Ruch w mieście dozwolony jest tylko do godziny dziewiątej wieczorem, poczem wszystkie mieszkania mają być zamknięte. Domów strzegą w nocy dyżurujący mieszkańcy, ponieważ w mieście grasują bandyci.

Nowy porządek nie utrzyma się prawdopodobnie długo. W miastach powstają rady delegatów robotniczych, które na swoją rękę wykonują pewne akty władzy, a podobno także w wojsku powstają rady żołnierskie. Ponieważ w Kijowie przebywa oficyalnie Kocinbiński, były członek rządu bolszewickiego w Kijowie, przeto spodziewają się wkrótce zmiany władzy, przyczem nie jest wykluczone, że do nowego rządu, który prawdopodobnie utworzy się na wzór rosyjskiego rządu komisarzy ludowych wejdą niektórzy członkowie obecnego dyrektoryatu. Czy spodziewany przewrót dokona się bez większych tarć, przewidzieć na razie trudno, sądząc jednak po wszelkich danych, a zwłaszcza po informacyach nadchodzących ze wsi, gdzie całe rodziny padają znów ofiarami barbarzyńskich mordów, wnosić można, że cały kraj wkrótce pogrąży się w strasznej i niebywałej dotychczas anarchii, jeżeli inny zbieg okoliczności nie stanie temu na przeszkodzie.

**Subskrybujmy polską pożyczkę państwową.**



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Kiślańskiego. Główny redaktor: [illegible]. [illegible] Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem [illegible] Madeiskiego.